Wyspa

KWARTALNIK LITERACKI

nr 4 (68) 2023
SUPLEMENT

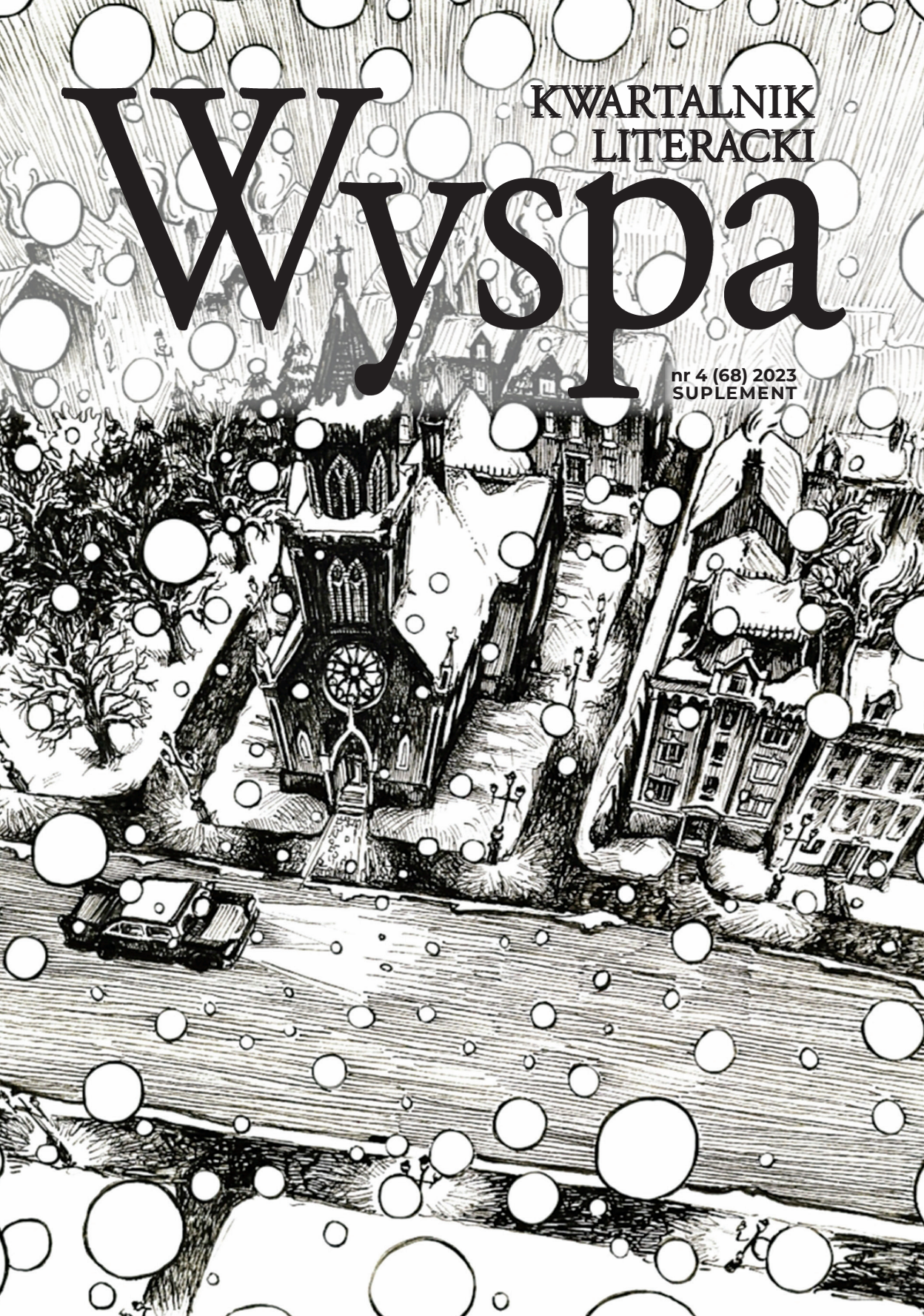

Wyspa KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 2083-7720

nr 4 (68)
SUPLEMENT

www.kwartalnikwyspa.pl

ADRES REDAKCJI: 00-048 Warszawa,
ul. Mazowiecka 6/8

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Dobrołęcki (dobrolec@warman.com.pl)

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
Ewa Tenderenda-Ożóg
(kontakt@kwartalnikwyspa.pl)

PROZA: Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

POEZJA: Katarzyna Bieńkowska
(katarzyna.bienkowska@gmail.com)

FELIETONY: Witold Kaliński, Karol Maliszewski,
Piotr Wojciechowski, Jan Zieliński

ILUSTRACJA MA OKŁADCE: Przemysław Berestko

KOREKTA: Korektelka Elżbieta Sokołowska

OPRACOWANIE GRAFICZNE, SKŁAD:
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

DRUK I OPRAWA:
Sowa Druk

Biblioteka Analiz

WYDAWCA: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Ewa Tenderenda-Ożóg

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w wypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formatach.doc lub.rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w wypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w wypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555),

a także przez stronę internetową
Kwartalnika Literackiego WYSPA:
www.kwartalnikwyspa.pl

W NUMERZE

Ota Filip
Café Slavia 3

Miloš Doležal
Hortensje 11
Duszek 11
Jej sen z 1 na 2 stycznia 12

Ladislav Fuks
Podróż do ziemi obiecanej 13

Miloslav Topinka
Wężowy kamień 21

Karin Lednicka
Krzywy kościół 29

Jiří Orten
Opowiadanie o szukaniu brata 43

Jan Zábrana
1 [Wiatr gnał] 49
2 [Na pustej parceli] 49
3 [Stara kobieta w szpitalu] 50
5 [Zaspany mężczyzna] 51
17 [Chodzi koło wystaw sklepowych] 52
19 [Słyszałem, że koło szkoły śpiewały dzieci] 52
21 [Dzieci nic nie wiedzą] 53
22 [Teraz wrzeszczy na dole] 53
27 [Znacie to] 53
28 [Sęk w tym, że dowiedział się z książek] 54
38 [Wsiadał do tramwaju] 54

44 [Stawia doniczkę] ... 55
53 [Narzuciły coś na siebie] ... 55
57 [Zabili pisklę, włożyli do garnka] ... 56
59 [Nie będę szukać ładniejszej od ciebie] ... 56
63 [Ciągle gdzieś się znajdują] ... 56
Strony z dziennika ... 57
Zapłacone z góry ... 57

Josef Jedlička
Poranna pieśń kochanków ... 59
Pościg ... 62
Wróg klasowy ... 64

Milada Součková
Opowiadanie indoeuropejskie ... 68
Opowiadanie patetyczne ... 72
Opowiadanie dziecięce ... 78
Opowiadanie Janinki ... 80
Opowiadanie o zającu ... 81
Opowiadanie ładne ... 83
Opowiadanie wigilijne ... 83

Rudolf Čechura
Przygody maksipsa Fika ... 87

NASI AUTORZY ... 90

Wydanie dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ota Filip

Café Slavia

Z języka niemieckiego przełożyła Małgorzata Gralińska

Opowieść siedemnasta

Nazajutrz – zegary na wieżach nadaremnie uderzyły pięć razy na przekór ostremu światłu słońca – wciąż widziałem Helenę na środku trawnika w ogrodzie von Molwitzów. Siedziała teraz na krześle. Przed nią jezuita modlił się na klęczkach, a ksiądz okadzał ją i skrapiał wodą święconą. Z lewej strony doktor Mosze Finkelstein pakował swoją walizeczkę. Hrabina Olga chodziła wokół córki. Ruchy jej ramion, które przypominały machanie skrzydłami, stawały się coraz bardziej oklapłe i powolne. Gdy zegary wybiły siódmą, stanęła przed Heleną, zaciśnięte pięści podniosła w kierunku mojego okna i po raz pierwszy od wielu miesięcy wykrzyknęła donośnym głosem:

– Ty potworze! Spójrz, co narobiłeś!

Patrzyłem na to, w czym rzekomo miałem zawinić, a co nie było wyłącznie moim dziełem.

Nadciągała poranna burza.

Von Molwitzowie zdążyli zawczasu o wszystkim pomyśleć. Zanim pojawiły się błyskawice, grzmoty i deszcz, nadeszli żołnierze – przytaszczyli namiot i zręcznie rozbili go nad głową Heleny.

W kolejnych dniach panował ożywiony ruch między pałacem a namiotem, w którym siedziała Helena. Słudzy biegali w tę i we w tę, od czasu do czasu zjawiała się Krombholzowa, do środka zaglądali szanowani lekarze, po chwili jednak wychodzili, potrząsając głowami.

Pewnego dnia w ogrodzie pojawili się wysocy dostojnicy kościelni. Na feretronie, w otoczeniu sześciu puzonistów, przyniesiono Praskie Dzieciątko Jezus. Woskowa figurka błyszczała od złota i od licznych kamieni szlachetnych, które zdobiły jej szatę i koronę. Duchowni zaczęli śpiewać w namiocie. Blady dym kadzidła unosił się przez otwór w płachcie. Wszystko to zajęło całe przedpołudnie

i przeciągnęło się aż do piętnastej. Dopiero wówczas kapłani, uginając się pod ciężarem ornatów, wyszli na zewnątrz. Jeden z nich przywołał muzyków. Dzieciątko nakryto białym płótnem, a potem szybko odniesiono z powrotem do kościoła Panny Marii Zwycięskiej na ulicy Karmelickiej.

W ogrodzie pojawił się praski mistrz budowlany, Josef Gregor, wraz z pomocnikami. Wokół namiotu wymierzyli kwadrat i w trawnik wbili kołki. Następnego dnia stawiło się trzydziestu robotników z motykami, z łopatami i z furmankami. Zaczęli kopać fundamenty. W nocy na miejscu budowy zapalano światło elektryczne. Trzeciego dnia, po wykopaniu dołów, natychmiast zjawili się murarze. Na początku października zgrabna ogrodowa willa stanęła w stanie surowym, a w połowie miesiąca także sztukatorzy mogli zdjąć rusztowania. Dokonano prawdziwego cudu: nieduża, czarująca willa zdobiła ogród von Molwitzów, w środku zaś siedziała Helena. Była ku temu najwyższa pora, ponieważ pod koniec października łagodna jesień dobiegła końca, a pierwszego listopada spadł śnieg. Inni robotnicy nie zważali na pogodę, tylko zabrali się do wytyczania nowych alejek. Dziwnym trafem zaczynały się przy nowej willi, która teraz stanowiła centralny punkt wielkiego ogrodu, i promieniście rozbiegały się w wszystkich kierunkach świata, aż do wysokiego muru. Tylko jedna ścieżka, jak mi się wydawało, została wytyczona w logiczny sposób: prowadziła od elegancko wyciętych drzwi wejściowych willi bezpośrednio do pałacu.

Jeszcze długi czas miałem nie zobaczyć Heleny.

Opowieść osiemnasta

Skończyłem wówczas dwadzieścia trzy lata i wyglądałem olśniewająco. Przypominałem Jakuba hrabiego Mikołajczyka, jastrzębia anarchii. W ostrym słońcu moja blada twarz wydawała się jeszcze bledsza, bujne, czarne, zadbane wąsy przydawały mi łagodnego wyrazu melancholii. Szara peleryna z karminową podszewką, która lekko powiewała na wietrze, doskonale uzupełniała wizerunek. Na rogu ulic Ferdynanda i Spalonej zderzyły się dwa silne prądy powietrza. Jeden wiał znad Wełtawy, przemieszczał się ulicą Ferdynanda w kierunku placu Wacława i chłodził moją umalowaną twarz, natomiast drugi wyłaniał się z cienistej Spalonej, dął w plecy i niósł zapach dzikiej róży oraz kwitnącego zboża. Ten wiał z południa.

Moje lewe, dalekowzroczne oko czuwało.

I wtedy ujrzałem jej postać.

Wiatr wiejący Spaloną popychał ją w moją stronę. Bryza była łagodna, spowita cieniem. Dama przypominała dobrze zbudowany zielony barkas. Tuż przed tym jak wpłynęła w strefę mgły, opuściła zielony żagiel.

Ukłoniłem się nisko. Lekki podmuch znad Wełtawy wydął nieco moją pelerynę. Skromnym głosem, w którym pobrzmiewała nuta smutku, a nawet zawstydzenia,

wypowiedziałem swoją, dla mnie niezwykle kuszącą, prośbę, a przy tym spojrzałem w ciemnozielone, przepastne oczy damy.

Dopiero później sobie uświadomiłem, że jej zaskoczenie zostało odegrane równie perfekcyjnie, co nonszalancja, z jaką odsunęła się ode mnie o trzy czy cztery kroki. Powolnym ruchem podniosła woalkę, która, jak mi się wydawało, gdy zwisała swobodnie z zielonego kapelusza, spowijała twarz i szyję niemal czarodziejskim urokiem.

Dama cicho się zaśmiała. Potem rozpięła jasnozielony żagiel i skręciła w kierunku Wełtawy, szerokimi biodrami prując fale światła na ulicy Ferdynanda.

Zrozpaczony, szukałem błędu, który nigdy nie przytrafił się Jakubowi hrabiemu Mikołajczykowi. Czy mój głos rzeczywiście brzmiał miękko…? Czy nie zsunęły mi się wąsy…? Czy w chwili, gdy zagadnąłem nieznajomą, moja twarz nie znajdowała się w cieniu…? Rozsądek nakazywał, aby tę porażkę przyjąć bez protestu, rozpacz jednak natarczywie domagała się czynów.

Bez zastanowienia więc każdej kobiecie, która znalazła się w polu widzenia krótkowzrocznego oka, zadawałem moje zuchwałe pytanie. Słowa wypowiadałem świadomie i celowo, pobrzmiewała w nich niema groźba.

Już w następnej chwili zostałem spoliczkowany. Przyjąłem to z opanowaniem. W kolejnych minutach – choć przyznaję, że chodziło być może o kwadrans – trzy razy zostałem opluty, cztery razy dostałem po gębie, a raz zarobiłem kopniaka w podbrzusze.

Musiałem oprzeć się o ciepłą ścianę. Łzy wielkie jak groch toczyły się po mojej uszminkowanej twarzy, żłobiły w niej dziesiątki równoległych bruzd. Nie mogłem więc dostrzec, że zielona dama o szerokich biodrach, która w plecach miała wiatr z ulicy Ferdynanda, pożeglowała w moją stronę i rzuciła kotwicę o krok przede mną.

– Wygląda pan na zupełnie wykończonego – rzuciła. – Obserwowałam pana. Ma pan za sobą kilka dość bolesnych doświadczeń.

– Łaskawa pani – wyjąkałem. – Jestem pani winien wyjaśnienie.

– Ależ gdzie tam, nie interesują mnie żadne wyjaśnienia…!

Uniosła woalkę, a ja ujrzałem jej chłodne, zaciekawione spojrzenie.

– Czy znajdzie się dla mnie odrobina tego, co wcześniej mi pan proponował? – zapytała z uśmiechem.

Opowieść dziewiętnasta

Dwudziestego ósmego października 1917 roku, pamiętam bardzo dokładnie, byłem zmordowany po odniesieniu dwusetnego sukcesu. Z trudem wlokłem się do domu. Mój stan fizyczny – zainkasowałem liczne bolesne uderzenia, ciosy pięścią i kopniaki w intymne miejsce – a także kondycja psychiczna doznały tak

poważnego uszczerbku, że z ciężkim sercem podjąłem decyzję o zakończeniu działalności na ten rok.

Prawie do samego Bożego Narodzenia dużo spałem, dobrze się odżywiałem i znów przybrałem na wadze. Na dzień przed Wigilią wybrałem się na pierwszy spacer.

Było ciepło i słonecznie. Przechadzałem się niespiesznie nad Wełtawą – dzisiejszym nabrzeżem Smetany, które wówczas nazywało się nabrzeżem Franciszka, a w kolejnych latach tak często zmieniało nazwy, że niektóre już dawno wyleciały mi z głowy – i zmierzałem w kierunku Teatru Narodowego. Czułem się, jakbym o włos umknął przed letnim czyśćcem i jesiennym *danse macabre*. Jak zwykle szerokim łukiem ominąłem pomnik Franciszka. Nie przepadałem za poczciwym cesarzem. Siedział na rumaku, ubrany w czeski ornat koronacyjny, w otoczeniu spiczastych kolumn w stylu staroniemieckim. Ta zastygła neogotycka piramida, jej ostre kanty i czubki z żeliwa były obce w mieście wzniesionym z miękkiego, brunatnożółtego piaskowca. Cesarza otaczały figury wyobrażające czeskie stany i krainy. Wydały mi się one żałosnymi postaciami o obłudnie wykrzywionych, upokorzonych obliczach.

Południowe dzwony wybiły dwunastą.

Przechodziłem akurat obok wielkich okien Café Slavia. W szybach odbijał się zniekształcony obraz Wyspy Strzeleckiej i Petřína. Gdy po raz pierwszy poszukiwałem odpoczynku i przekroczyłem próg tego miejsca, lokal był niemal pusty. Przy pojedynczych stolikach siedziały znużone postacie, które albo w ogóle nie dostrzegły, albo nie chciały dostrzec mojego przybycia. Wtedy nie przywiązywałem do tego wagi. Usiadłem przy stole pod ogromnym oknem z pięknym widokiem na szarą taflę Wełtawy, na Wyspę Strzelecką i na jej ogołocone, splątane, pokrzywione drzewa, na nagi Petřín. Zamglona Malá Strana i Hradczany tamtego dnia sprawiały wrażenie mniejszych i mniej okazałych niż zazwyczaj.

– Czy życzy pan sobie koniak? – Kelner pochylił się ku mnie i zagadnął w taki sposób, jakbym od lat był stałym bywalcem w Café Slavia.

– Tak, poproszę koniak.

– A potem kawa…?

– Poproszę.

– Z wodą mineralną, jak jest to u nas w zwyczaju. Mam na myśli wodę podawaną do kawy, panie hrabio. – Kelner się wyprostował i spojrzał na wspaniały obraz za oknem.

– Skąd pan mnie zna?

Lekko egzaltowany ton, którym się do mnie zwracał, bynajmniej nie był dla mnie nieprzyjemny.

– Jest pan znany w Pradze – odparł cicho. Jego wzrok wspiął się aż do jasnożółtych murów pałacu rodziny Belecredos. – Miło mi, Alois Volný, kelner w Café Slavia. Z powodu astmy zwolniony z dokonywania bohaterskich czynów na wojnie.

Pan Alois oddychał głęboko i głośno. Sądziłem, że się oddali, aby przynieść koniak, on jednak wciąż stał przy moim stoliku.

– Od teraz, panie hrabio, wolno mi pana zaliczać do grona stałych bywalców – rzekł.

Z tonu pana Aloisa próbowałem wywnioskować, czy ostatnie wypowiedziane zdanie należy uznać za pytanie, czy też za stwierdzenie faktu. Nie potrafiłem od razu udzielić odpowiedzi, a później już nie było takiej potrzeby.

– Przecież jestem tu po raz pierwszy – oznajmiłem.

Pożałowałem, że w moim głosie zabrzmiało lekkie rozdrażnienie.

– Każdy z naszych sztamgastów był tutaj kiedyś po raz pierwszy – odparł pan Alois, jakby podejmował jakąś ważną decyzję, a potem dodał z niemal uroczystą miną: – Panie hrabio, od tej pory ten stolik będzie zawsze na pana czekał.

– Nie wie pan nawet, czy kiedykolwiek powrócę jeszcze do Café Slavia!

– Ależ tak.

Oddalił się z uśmiechem.

Oceniłem go na jakieś dwadzieścia trzy lata. Był szczupły, trochę wyższy ode mnie. W jego wyglądzie najbardziej uderzyły mnie wodniste oczy, wciąż niespokojne i pełne punkcików wirujących wokół szarych źrenic. Gdybym wówczas opisał je jako smutne, nie miałbym w stu procentach racji. Oczy pana Aloisa były nieobecne – wprawdzie spoglądał na mnie albo na coś innego, ale jakby błądził gdzieś wzrokiem ponad wszystkim.

Potem tacę z koniakiem postawił na marmurowym blacie. Gdy zaczął mówić krótkimi zdaniami, jego słowa wibrowały nad moją głową. To, co pan Alois miał mi do powiedzenia, przypominało proroctwo, które wówczas, jako młody i niedoświadczony człowiek, puściłem mimo uszu.

– Panie hrabio, tutaj jest pan w dobrych rękach! Odtąd może pan zawsze zakotwiczyć przy tym stoliku, to będzie pański bezpieczny port. Może mi pan o wszystkim opowiedzieć, ponieważ to nie jest zwykła kawiarnia, tylko prawdziwy azyl. Życie przepływa obok nas. Gdy usiądzie pan przy tym stole, odetnie się pan od wszystkiego, co dzieje się za oknem. Punktualnie o dwunastej podajemy koniak, kawę i wodę mineralną. Nie ma tu miejsca dla gaduł, u nas się milczy. Czy słyszy pan tę ciszę, panie hrabio?

Słyszałem dzwony wybijające pierwszą.

Na moście Franciszka zobaczyłem damę ubraną na zielono, która pospiesznie zmierzała w stronę Smíchova. Nagle stanęła, odwróciła się, a potem, pochylona do przodu, z powrotem pobiegła na wschodni brzeg Wełtawy, jakby gnana porywistym wiatrem.

Dalekowzrocznym okiem dostrzegłem zielonkawą twarz, co, rzecz jasna, było złudzeniem optycznym. Promienie słoneczne, które od południa oświetlały prawy bok damy, odbijały się od jej ramienia, więc twarzy schowanej w cieniu zielonego kapelusza przydawały głębszej tonacji.

Teraz kroczyła powoli. Nie – kołysała się niczym obładowany barkas na łagodnej fali. Wytrzymały most, który tak często musiał zmieniać swoją nazwę, wydawał się uginać pod jej ciężarem.

Opowieść dwudziesta

Wiosną wsiadłem do jej powozu i wraz z nią pojechałem do zielonego mieszkania znajdującego się w domu na skraju Petřína.

Milczała. Ja też nie miałem nic do powiedzenia. Kiedy się ubrałem i pożegnałem, wciąż się nie odzywała. Dopiero gdy zamierzałem odsunąć rygiel w seledynowych drzwiach, w ciemnozielonym szlafroku przyszła do przedpokoju.

– Wie pan, że jestem nieszczęśliwa? – zapytała.

Przybrałem zatroskany wyraz twarz. A ponieważ nic innego nie przyszło mi do głowy, po cichu zadałem banalne pytanie:

– Gdzie właściwie przebiega granica między byciem szczęśliwym a nieszczęśliwym?

– Właśnie to chciałabym wiedzieć.

– Wielce łaskawa pani, miało to być raczej pytanie retoryczne, na które nie ma odpowiedzi.

– Ale ja jestem nieszczęśliwa!

– Dobrze, że w ogóle jeszcze coś się odczuwa – powiedziałem i wyszedłem z mieszkania.

„Nie, nie jest w stanie mnie rozpoznać" – pomyślałem. Nosiłem wtedy maskę trzydziestopięcioletniego polskiego wywrotowca, zresztą od czasu naszego spotkania upłynęło siedem czy osiem miesięcy. Stała teraz pod wielkim oknem kawiarni i wpatrywała się we mnie. Pomachała ręką, uśmiechnęła się z tęsknotą, a jednocześnie może nawet – wtedy nie umiałem tego rozstrzygnąć – z nadzieją.

Dalekowzrocznym okiem próbowałem sięgnąć ponad zielonym kapeluszem damy aż do Wyspy Strzeleckiej. Nawet pusty kieliszek po koniaku podniosłem do ust, żeby jasno zakomunikować: „Łaskawa pani, w ogóle pani nie widzę. Jest pani dla mnie jedynie zieloną luką w słonecznym, zimowym powietrzu!".

Nagle przede mną stanęła.

– No, wreszcie pan jest! Cały miesiąc biegam, już nóg nie czuję. Wszędzie pana szukałam, ale dopiero teraz znalazłam. Och, ja nieszczęśliwa…! Jestem w ciąży, spodziewam się dziecka, ty draniu!

Mówiła cicho, głosem zielonego anioła, serafina, w niebie najwyższego rangą. Miała przepiękne oczy: lewe było szare, a prawe – zielone.

– Przecież to żadne nieszczęście spodziewać się dziecka – odparłem.

– Ale co na to mój mąż?! Może sobie łatwo policzyć, połowa kwietnia…

– Myli się pani, *madame* – Pan Alois wynurzył się na czas ze strefy mgły i przerwał damie w zieleni. Nieobecnym wzrokiem wodził po miękkich konturach nadwełtawskiego krajobrazu. – Cały kwiecień spędziliśmy z panem hrabią na łowieniu ryb w jego dobrach w północnych Czechach. O ile dobrze pamiętam, towarzyszyli nam kucharz, pan Franz, i starszy kelner, pan Adolf. Możemy przysiąc przed każdym sądem. Przykro mi, *madame*, jest pani w błędzie. Muszę panią poprosić, aby nie naprzykrzała się pani naszym gościom.

– Co za podłość! – jąkała się raz po raz dama, a przy tym stawała się coraz mniejsza. Została z niej tylko zielona plama na szklanych drzwiach kawiarni Slavia, lecz i ona wkrótce się rozpłynęła.

– Panie Aloisie, dziękuję panu – powiedziałem ze wzruszeniem.

Damę w zieleni ponownie zobaczyłem na moście Franciszka. Najpierw pochylała się do przodu, jakby walczyła z potężnym wiatrem. Potem szybko zrobiła cztery kroki, a przy kolejnych pięciu – spowolniła. Szósty krok postawiła z największym trudem. Zamierzała zrobić siódmy, ale przystanęła. Nagle weszła na poręcz mostu, zielony kapelusz z woalką eleganckim ruchem wrzuciła do wody, a potem pożeglowała w ślad za nimi.

Zielony, szeroki płaszcz i spódnica wydęły się na wietrze. Dama przypominała wielką gruszkę, która niezwykle wolno spada do rzeki. Gdy znalazła się obok swojego kapelusza, wyciągnęła ręce, jakby chciała go schwycić.

Na gładkiej powierzchni wody rozchodziły się koliste fale, które zdradzały miejsce jej upadku.

Nadleciały trzy ptaki drapieżne – moje dalekowzroczne oko wypatrzyło je już wcześniej między czarnymi gałęziami na Wyspie Strzeleckiej – i krążyły wokół trzech wież katedry św. Wita odbijających się na wodzie. Ich obraz rozprysnął się na kawałki.

Kapelusz z woalką spadł do rzeki dopiero później. Porwany przez lekką bryzę i rzeczny nurt, dryfował spokojnie w kierunku mostu Karola. Ptaszyska rzuciły się z dzikim skrzekiem na nakrycie głowy i zaczęły rozrywać je ostrymi, czerwonymi dziobami.

– Tak, tutaj często się to zdarza. Ciekawe, że samobójcy nie wybierają o wiele piękniejszego mostu Karola, tylko ten nasz – odezwał się pan Alois.

– Proszę rachunek.

– Nasi stali bywalcy płacą zawsze na koniec miesiąca – westchnął kelner.

Opowieść dwudziesta pierwsza

Wtedy przysiągłem sobie solennie, że nigdy nie zapomnę damy w zieleni. I, drogi przyjacielu, dotrzymałem obietnicy. Za każdym razem, kiedy przed Bożym

Narodzeniem siedziałem w Café Slavia, ku czci damy odprawiałem rodzaj prywatnego nabożeństwa: kieliszek koniaku podnosiłem do ust i znów pozwalałem jej rzucać się w lodowate odmęty. W niektóre lata Wełtawa zamarzała jeszcze przed świętami. Wtedy nie pozostawało mi nic innego, jak tylko na chwilę przed tym, zanim zielona postać wydymająca się na wietrze uderzy o lód, prędko zamknąć oczy.

Fragment książki, która ukaże się w 2024 roku nakładem wydawnictwa Książkowe Klimaty.

OTA FILIP (1930–2018), czesko- i niemieckojęzyczny prozaik i publicysta, jeden z najważniejszych przedstawicieli czeskiej literatury emigracyjnej. Absolwent Uniwersytetu Karola w Pradze (literatura i dziennikarstwo). W 1968 roku za przygotowanie i rozpowszechnianie antyradzieckich ulotek na osiemnaście miesięcy trafił do więzienia Bory w Pilznie. W 1974 roku komunistyczne władze zmusiły go do opuszczenia kraju, zakazano też publikacji jego książek. Przeniósł się do Monachium, a potem zamieszkał w niewielkiej wiosce leżącej u podnóża Alp. Pracował jako dziennikarz, publikował m.in. w „Die Welt", „Frankfurter Allgemeine Zeitung" i „Die Zeit", był redaktorem w wydawnictwie Fischer Verlag. Członek Bawarskiej Akademii Nauk i Sztuk, współpracownik Radia Wolna Europa, udzielał się w emigracyjnym PEN Clubie. Autor kilkunastu książek, w *Cesta ke hřbitovu* (1968), *Nanebevstoupení Lojzka Lapáčka ze Slezské Ostravy* (pierwsze wydanie: 1974, polskie wydanie: *Wniebowstąpienie Lojzka Lapaczka ze śląskiej Ostrawy,* 2005), *Touha po Procidě* (1991), *Sousedé a ti ostatní* (2003, polskie wydanie: *Sąsiedzi i ci inni*, 2008), *Osmý čili nedokončený životopis* (2007, polskie wydanie: *Siódmy życiorys, 2022*). Laureat kilku nagród, m.in. Medalu Za Zasługi nadawanego przez prezydenta Republiki Czeskiej i Nagrody Literackiej im. Adalberta von Chamisso przyznawanej przez Fundację Roberta Boscha.

MILOŠ DOLEŽAL

Przełożyła Joanna Goszczyńska

Hortensje

Na chwilę tylko
uchylone drzwi
przezroczyste sito
między tu a tam
powiew światła
biało-rudawy
cień ducha
przemyka
delikatnie jak muszka.

Krąg cmentarza
środek świątyni
stłumione kroki
ktoś wchodzi
ktoś inny wstaje.

U schyłku dnia
świat oniemiał
od grobów delikatnie
zapachniały hortensje
gorące czoło mojej ukochanej.

Duszek

Ogień, palenie gałęzi
Dym i dogasanie.

Przemijanie? Raczej pomieszanie.
Czy to dziś było, czy wczoraj?

Ostatnia pszczoła
Błąka się, miota i wyczerpana
pada.

Na plecy na trawę
padamy i my.

Bez ukochanej
użądleni.

Jej sen z 1 na 2 stycznia

W nocy musiałam wstać
i odsłonić w oknie firankę
na łące pasły się gwiazdy
i jedna, z okolic Oriona
właśnie się zabłąkała i wpadła do studni.
Ich bliskość była tak oczywista i magiczna
że zaczęłam coś na głos mówić
aż się dziwię
że mogliście spać i nic nie widzieć.

Wiersze pochodzą z tomu *Jana bude brzy sbírat lipový květ*.

MILOŠ DOLEŽAL (ur. 1970), poeta, eseista, publicysta, scenarzysta, felietonista, dziennikarz radiowy, wydawca. Ukończył studia na Wydziale Socjologii na Uniwersytecie Karola w Pradze. Opublikował dziesięć tomików poetyckich i zbiór felietonów. Wiersze, felietony, eseje o sztuce publikuje w „Lidovych Novinach", „Revolver Revue" i „Perspektivach". Jego utwory tłumaczone były na wiele języków, ukazały się również po polsku. Pracuje w Czeskim Radiu Praga.

Ladislav Fuks

Podróż do ziemi obiecanej

Przełożyła Joanna Goszczyńska

Kiedy wczesnym rankiem dotarli nad rzekę, z walizami, z plecakami i z torbami, nie kryli zaskoczenia. To, że nie popłyną luksusowym statkiem, wiedzieli już od tygodnia, kiedy pan Seidler, były mistrz szermierki, dostał polecenie, żeby się nauczyć obsługi silnika montowanego na różnych łodziach. Ale to, co w porannej letniej szarówce fale rzeki obmywały przed ich oczami, było najzwyklejszą łajbą. Na rufie – silnik i kilka wioseł, plandeka rozpięta na metalowej konstrukcji, ławka, prycze i puste beczki. Pośrodku – budka z kanistrami z wodą i z benzyną. A na dziobie, na drążku – flaga ze swastyką.

– Naszego statku jeszcze nie ma, chociaż powinien już być – powiedział mężczyzna w letnim kraciastym garniturze, z chusteczką elegancko wsuniętą do kieszonki. – Już najwyższy czas.

– Tak, już pora – przytaknął starszy, wytworny mężczyzna i spojrzał na zegarek. – Zapytamy tych panów.

– Wasza łódź jest tutaj. – Oficer, który właśnie dotarł na brzeg, wskazał łajbę. Na moment zapanowała ciężka, martwa cisza. – Mamy na uwadze to, że wasza podróż potrwa tydzień. – Uśmiechnął się. – Przy pewnym ograniczaniu swoich potrzeb dotrzecie do celu. To jedyne, co możemy wam zaoferować.

– Panie majorze – odezwał się starszy, wytworny mężczyzna – chyba nie mówi pan tego poważnie! Tak długiej podróży nie możemy przecież odbyć taką łodzią!

– Obawiam się, że musicie – odparł oficer. – Zwróćcie uwagę, że na wschodzie grozi nam wojna z Polską.

– W takim razie powinniśmy jechać pociągiem. – Mężczyzna w kraciastym garniturze odpowiedział z irytacją w głosie. – Zostawiamy wam tu za to cały majątek.

– Nie cały. – Oficer znowu się uśmiechnął. – Macie bagaż podręczny. Nie wnikamy, co w nim jest. Zapominacie, że nie macie wiz tranzytowych, więc możecie podróżować tylko drogą wodną. Łódź nie może nigdzie przybić do brzegu.

Gdybyście, panowie, płynęli tylko przez terytorium Rzeszy, wyglądałoby to inaczej. Wtedy wizy nie byłyby potrzebne… – Oficer kolejny raz się uśmiechnął, nagle jednak jego głos stał się ostrzejszy. – Na Morzu Czarnym będzie na was czekać angielski statek do Stambułu, a potem jedźcie sobie, dokąd chcecie. Jeśli się komuś nie podoba, nie musi. Jego miejsce zajmie pięciu innych. A teraz – dodał, mrużąc oczy i patrząc na wschodzące słońce – teraz jeszcze po raz ostatni sprawdzimy nazwiska. Przygotujcie dokumenty emigracyjne i wsiadajcie po kolei, tak jak będę wyczytywał.

W tym momencie zniknęła ciężka, martwa cisza. Ludzie ożyli.

– Coś podobnego! – krzyknęła kobieta o chłodnej, bladej twarzy, ubrana w oliwkową sukienkę. – Przecież nie jesteśmy Cyganami!

– Nie jesteśmy Cyganami, dlatego czymś takim nie popłyniemy! – rzuciła druga, mocniejszej budowy.

– Nie popłyniemy! – skomentował starszy, wytworny mężczyzna. – Zabierzemy się stąd i jeszcze raz pójdziemy do urzędu emigracyjnego.

W tym czasie oficer podszedł do stolika, który na kamienistym brzegu rzeki robił niezwykłe wrażenie. Drugi oficer podał mu papiery, jakiś żołnierz podsunął krzesło. Oficer usiadł, rozłożył dokumenty i z twarzą zwróconą w stronę wschodzącego słońca zaczął czytać:

– Zigmund Kerstorff, fabrykant, żona Selma, córka Selma Seidler, jej mąż Werner Seidler…

Fabrykant Kerstorff, chociaż miał już zamężną córkę, wyglądał dosyć młodo. Może z powodu smukłej sylwetki i letniego kraciastego garnituru z chusteczką w kieszonce. Na jego twarzy malowała się złość. Jednak gdy oficer wyczytał jego nazwisko i chwilę wyczekiwał, Kerstorff w końcu wziął walizkę i poszedł. Jego żona, chłodna i blada, w eleganckiej oliwkowej sukience, wyglądała na dużo starszą. Kiedy oficer przystawiał jej pieczątkę w dokumencie, patrzyła wyzywająco na drugi brzeg, w stronę nieruchomego diabelskiego młyna, ale również poszła. Pani Seidlerowa i jej mąż byli młodymi, szczupłymi ludźmi w sportowych ubraniach. Mieli naręcze bagażu, więc nawet nie zahaczyli wzrokiem o oficerów. Ale oni też poszli.

– Wilhelm Breitenbach, przemysłowiec, żona Erika, dzieci Wilhelm, Wolff, Erika… – wyczytał oficer, a potem spojrzał na dwóch tragarzy stojących przy walizkach, torbach i stercie drobnych pakunków.

Przemysłowiec Breitenbach, postawny jowialny mężczyzna, oddychał ciężko, podając oficerowi dokumenty. A kiedy oficer mu je zwrócił, kiwnął na jednego z tragarzy, na żonę i na dzieci i odszedł. Żona, dobrze zbudowana kobieta, której raczej nikt by nie podejrzewał, że jest żoną przemysłowca, ruszyła za nim. Wilhelm, na oko koło dwudziestki, w przeciwieństwie do ojca szczupły, smutnym wzrokiem popatrzył w kierunku łodzi i też ruszył. Dwudziestoletnia Erika patrzyła

na diabelski młyn na drugim brzegu, tak jak przed chwilą robiła to pani Kerstorffowa, ale patrzyła z przygnębieniem, z lękiem. Ona też ruszyła w stronę łodzi. Czternastoletni Wolff o wesołych, szeroko otwartych oczach wyraźnie nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się na łajbie.

– Ludwik Festan, dyrektor banku. – Oficer zmrużył oczy od słońca. – Żona Klara, syn Hans, gospodyni Marta Eisner.

Kiedy pan Festan chował dokumenty do portfela, spuścił oczy. Starszy, wytworny mężczyzna był zapewne przyzwyczajony do chodzenia po marmurze, po dywanach i do podpisywania się złotym piórem. Ze zmarszczonym czołem schylił się po dwie walizki i ruszył.

Hans, jego dwudziestoletni syn, uśmiechał się. Spokojnie ruszył z walizkami w stronę łodzi. Marta Eisner, starannie ubrana kobieta, chwyciła resztę toreb i pospieszyła na łódź, jakby czekało tam na nią mnóstwo pracy. A pani Festanowa… Pani Klara Festanowa, starsza dama z wełnianym szalem narzuconym na letnią ciemną sukienkę, ozdobioną jasną broszką, ruszyła za nimi z torebką i z białą parasolką. Na jej twarzy malował się cierpki uśmiech. Kiedy jej wzrok zahaczył o prycze pod żaglem i o beczki, jej uśmiech stał się jeszcze bardziej zgorzkniały. Ale i ona poszła.

Siedzący za stołem major uniósł głowę, oczy zmrużył od słońca. I lekko się uśmiechnął.

– Rosa Salinger, śpiewaczka operowa. – Lekko się uśmiechnął i spojrzał w kierunku drugiego tragarza ze stertą pudeł i walizek, z których wystawała też tuba gramofonu. Atrakcyjna pani Salingerowa, w letniej sukience w kwiaty, z włosami bogato zdobionymi, z wielkimi kolczykami, z pierścionkami i z bransoletką na wypielęgnowanych dłoniach, z lękiem skinęła na tragarza.

– Zabiera pani gramofon? – odezwał się major.

– Tak – odpowiedziała drżącym głosem. – I zdjęcia, i płyty.

– A jedzenie? Zapasy na tydzień?

– Zapasy na tydzień… – westchnęła. W jej oczach pojawiły się łzy. – Mam herbatniki, czekoladę, kawę… – wyjaśniła i się oddaliła.

Oficer, który dotąd siedział za stołem, teraz wstał i spojrzał przed siebie. Ze spokojem, niemal wesoło. Na brzegu został już tylko jeden pasażer, z siwiejącą brodą. Stał na kamieniach, w czarnym garniturze i w czarnym kapeluszu, w ręce trzymał wiklinowy koszyk. Patrzył na wodę, która w porannej mgle obmywała łódź. Oficer chwilę go obserwował i się uśmiechał. W końcu zmrużył zmęczone oczy.

– Mojżesz Ascher – powiedział. – Rabin wiedeński.

Na brzegu zostali oficerowie, żołnierz i tragarze. Żołnierz wziął krzesło i stolik i wrzucił na łódź. Tragarze przyglądali się z uznaniem. Oficer podszedł do łodzi.

– Jeśli macie kuchenki, uwaga na ogień, w budce jest benzyna – uprzedził. – Za tydzień jesteście na morzu. A teraz… – Zakołysał się na piętach i uniósł dłoń. – A teraz ruszajcie.

Pan Seidler włączył silnik na rufie, na dziobie zatrzepotała swastyka i brzeg zaczął się oddalać.

Brzeg z wolna się oddalał, podobnie jak nieruchomy diabelski młyn skąpany w zieleni drzew. Powoli znikały domy na nabrzeżu, na którym tak wczesnym rankiem pojawiali się jedynie mleczarz albo piekarz, albo na które zabłądził niemiecki patrol… Ludzie na łajbie stali przy barierce niczym posągi. Opuszczali miasto, w którym się urodzili, pracowali, żyli… Tam wznosiły się wieża katedry św. Stefana, zamek, parlament. Tam za wieżami stały szpital, szkoła i dom. Tam mieszkali od trzech pokoleń… Drogie im miasto, które jeszcze pół roku temu było zupełnie inne. Teraz je opuszczali, prawie wszystko zostawiali.

– Nie powinniśmy jechać – powiedział fabrykant Kerstoff, ale zaraz się poprawił: – Nie powinniśmy płynąć tą łodzią. Powinniśmy jechać pociągiem. Powinni nam załatwić wizy tranzytowe.

– Powinni nam dać sternika do dyspozycji – odezwała się jego żona, chłodna, blada, w oliwkowej sukience. – Człowieka do obsługi maszyny. Werner nie ma przecież obowiązku kierować łodzią przez cały ten czas. Za dokumenty emigracyjne oddał im swój majątek, tak jak wszyscy.

– W ogóle nie powinniśmy jechać – powiedział pan Festan. – Ja w ogóle nie wiem, dlaczego jedziemy. Przecież my właściwie emigrujemy. Ale dlaczego? Nic nam nie groziło, przeczekalibyśmy to.

Stali przy barierce i patrzyli, jak łajba płynie w stronę głównego nurtu. Płynęła w stronę głównego nurtu i wschodzącego słońca, a nad rzeką unosiła się biała poranna mgiełka.

– I tak by nam wszystko zabrali – stwierdził pan Breitenbach – Lepiej jednak, że jedziemy.

– Z Niemiec też kto mógł, ten emigrował. – Pani Salingerowa dodała ze łzami w oczach.

– Ale to jest Austria – powiedział pan Festan. – A to różnica. My jesteśmy tylko krajem okupowanym. Poza tym Niemcy i tak szybko przegrają. Do tego czasu mogliśmy spokojnie przeczekać.

Łódź powoli wypływała z miasta, zbliżała się do głównego nurtu.

Na dziobie, w unoszącej się mgle, powiewała swastyka.

– Teraz już za późno – powiedziała pani Kerstorffowa. – Już jedziemy. Niech tam…! Tyle tylko, że nie powinniśmy płynąć tą barką.

– A dlaczego właściwie nie polecieliśmy? – odezwała się nagle pani Festanowa. – Do samolotu też nie potrzebowalibyśmy wiz.

Wtedy wydarzyła się dziwna rzecz.

– Tak, powinniśmy lecieć – powiedziała pani Salingerowa ze łzami w oczach i pokazała na niebo. Jednak w tym momencie zebrani nie spojrzeli w niebo, ale na dziób łodzi.

Stał tam rabin Mojżesz Ascher, w czarnym garniturze i w kapeluszu, z koszykiem w ręce. Patrzył, jak łódź wypływa z bocznego ramienia i wpływa do głównego koryta. Jak wpływa do głównego nurtu rzeki, nad którą unosi się mgła, naprzeciw wschodzącemu słońcu. Jak na brzegu – w tej mgle i w tym słońcu – goreją krzewy. Teraz uniósł głowę i spojrzał na niebo, które przed chwilą wskazywała pani Salingerowa. Czuł jakiś chłód i słyszał jakby brzęczenie nieprzebranego roju pszczół… Ale nikt ze stojących za nim tego nie podejrzewał. Jego twarz zobaczyli dopiero wtedy, kiedy się odwrócił w ich stronę.

– Tak – powiedział – wyjeżdżamy z Egiptu. Bóg wyswobadza swój naród z niewoli. – Ponownie uniósł wzrok w stronę nieba, które przed chwilą wskazywała pani Salingerowa, i dodał: – Jedziemy do ziemi obiecanej.

Pani Salingerowa, śpiewaczka operowa, płakała. Pani Breitenbachowa też płakała. Niektórzy mężczyźni mieli łzy w oczach. Inne twarze były chłodne, a na jeszcze innych malował się gniew.

Fabrykant Kerstorff, w kraciastym garniturze z poszetką w kieszonce, spojrzał na rabina i na swastykę.

– A więc mamy szczęście – rzucił sucho.

– Wygląda na to – powiedział rabin, stawiając swój wiklinowy koszyk na ziemi – że nurt jest już tutaj dość wartki i że pan Seidler powinien wyłączyć silnik. Powinniśmy oszczędzać benzynę.

Pan Seidler wyłączył silnik. Barka zaczęła płynąć, unoszona prądem. Zaczęli nosić bagaże pod zadaszenie, w stronę ławek, koi i beczek. Było tam miejsce i na stół i krzesło zabrane z brzegu.

– Jakoś się tu musimy zorganizować – westchnął pan Breitenbach.

– Może wytrzymamy ten tydzień. – Teraz i pan Festan się odezwał.

Poranna mgła na rzece się rozpływała, zaczynało robić się ciepło. Pani Festanowa odłożyła szal na koję i z walizki wypakowała koce. Były to piękne wełniane koce z frędzlami. Wypakowała też kuchenkę, rondelek i pudełko cukru.

– Żeby nie zawilgotniał – powiedziała do gospodyni Marty.

– Ten garnek jest jednak za mały dla czterech osób, szanowna pani – powiedziała gospodyni. – Będziemy musieli gotować na dwa razy.

– Trudno – westchnęła pani Festanowa. Wyjęła pudełko ryżu i nagle zawołała z przerażeniem: – Na Boga, czy ja zabrałam mleko?!

Marta i pan Festan zaczęli szukać mleka, ale znaleźli tylko obrazek w złotej ramie, miśnieńskie talerze i pozłacane sztućce.

– Tydzień musisz wytrzymać bez mleka – powiedział zmartwiony pan Festan.

Po chwili jednak odetchnął z ulgą. Mleko znalazło się między mydłami – jak wskazywała nazwa firmy na złotej etykietce, był to pierwszorzędny francuski produkt.

– Wiecie, ja bez mleka i kremu chroniącego przed słońcem nie mogę żyć. – Spojrzała, zafrasowana, na parasolkę opartą o koję. – Jeśli zacznie padać, to nie wiem, co będzie. Mnie w czasie deszczu boli głowa. Czy są tu też te moje proszki od Rubescha? – zapytała i w tym momencie zamarła ze wzrokiem utkwionym w ławkę.

Na starej, drewnianej ławce pani Kerstorffowa otwierała walizkę, a kawałek dalej pani Salingerowa, z oczami pełnymi łez, wypakowywała pudło. Fabrykant Kerstorff opierał się o barierkę i z palcem położnym na poszetce obserwował bransoletkę, pierścionki i czerwone paznokcie pani Salingerowej.

– Ma pani, madame, zapasów na miesiąc – powiedział – a nie na tydzień. W życiu nie widziałem tylu perfum, kremów i pudrów, chyba że w drogerii. A to woda brzozowa?

– Tak. – Pani Salingerowa smutnym wzrokiem spojrzała na jedną z buteleczek, niebieską, jak jej kolczyki. – Obawiam się, że włosy mi zawilgotnieją. Ale boję się też o płyty.

Odwróciła się w stronę gramofonu i stojącej opodal walizeczki.

– Tę naftę powinieneś spakować z kuchenką, a nie z makaronem – powiedziała pani Kerstorffowa, chłodna i blada, przeglądając pieczywo, ogórki w słoiku i makaron. – To już mogłeś ją włożyć prosto do soli. Jeszcze się okaże, że będziemy jeść makaron z naftą, skoro to i tak nie jest tu nic warte.

– Ja łodzi nie wybierałem – odciął się pan Kerstorff. – Martw się raczej o przepisy, za tydzień jesteśmy na morzu. A to wszystko są pani nagrania? – Odwrócił się ponownie w stronę pani Salingerowej i wskazał walizeczkę – Nie ma tu pani czegoś na organy?

– Tylko moje nagrania. – Pani Salingerowa zadrżała.

– Szkoda – skwitował pan Kerstorff. – Moglibyśmy płynąć i czuć się jak w kościele.

Jedynymi dwiema kobietami, które nie za bardzo troszczyły się o cokolwiek, były pani Seidlerowa i pani Breitenbachowa. Pani Seidlerowa stała z tyłu, przy wyłączonym silniku, i razem z mężem patrzyła na krajobraz. Pani Breitenbachowa zdjęła trzewiki, usiadła na koi, która się pod nią mocno ugięła, i z torby wyjęła dwie rzeczy: na poły gotową wyszywankę z kolorową bawełną i jakąś książkę obłożoną w niebieski papier. Chwilę kartkowała książkę, jakby zastanawiała się nad jej wartością, po czym zawołała Wolffa, który stał na dziobie. Ale chłopiec nawet się nie odwrócił.

– Interesowałoby mnie – mówił właśnie – dlaczego musimy mieć akurat tę flagę. Nie możemy mieć innej? Mama ma taką niebieską apaszkę na szyję…

– Lepiej tego nie ruszaj – powiedział Wilem, który w przeciwieństwie do brata zawsze milczał.

– Każda łódź musi mieć swoją flagę, a ta łódź jest niemiecka.

– Egipska. – Zaśmiał się Wolff.

– Na Morzu Czarnym popłyniemy pod angielską – powiedział Hans Festan i położył się na brzuchu, z twarzą zwróconą w stronę rzeki.

Słońce stało już nad horyzontem, dziób był skierowany prosto w jego stronę. Narastał upał. Krajobraz powoli, w ciszy się przesuwał.

Na jednym z brzegów pojawili się jacyś robotnicy z motykami i tablica z napisem „Deutsche Arbaitsfront", kawałek dalej – rybacy z wędkami. Wszyscy ze zdziwieniem gapili się na środek rzeki.

Erika, która siedziała koło Hansa, blada i milcząca, odwróciła się i powiedziała:

– Patrzą na nas.

– Ja bym mógł łowić ryby! – zawołał Wolff. – Łowiłbym je bez opamiętania, gdybym tylko miał wędkę! Moglibyśmy je smażyć, mamy olej. Zrób mi wędkę – zwrócił się do Hansa.

– Z czego? – Hans uśmiechnął się do rzeki. – Akurat byś tutaj nałapał, przy takim prądzie...! Musielibyśmy płynąć wolniej.

– Przecież płyniemy wolno – zdziwił się Wolff. – Co to w ogóle za szybkość?! Dlaczego ten kantor nie chce, żeby silnik pracował? Powinniśmy lecieć jak strzała.

– Rabin – zaczął Hans, patrząc na rzekę – chce oszczędzać benzynę. Tutaj możemy płynąć bez silnika.

Patrzyli na robotników i na rybaków. Hans im pomachał, ale nawet nie drgnęli. Tylko stali i ze zdumieniem patrzyli na łódź.

Na drugim brzegu rzeki pojawiły się wierzby i zielona łąka ze stadem krów. Na brzegu siedziały dzieci, a za dziećmi biegał pies. Kiedy łódź się zbliżyła, pies, patrząc na rzekę, zaczął szczekać.

– Gdybym miał oszczep… – urwał Wolff i ponownie pomachał.

Dzieci na brzegu patrzyły ze smutkiem na łódź i na chłopca na dziobie, stojącego obok flagi. Żadne z nich nawet nie otworzyło ust. Tylko pies szczekał.

– Jedziemy do Afryki – powiedział Wolff.

– Jedziemy do Australii – powiedziała Erika, która siedziała obok Hansa. – Do Sydney, jak Bóg da.

– Jedziemy obok Afryki – powiedział Wolff. – Tam już będziemy mogli wyjść na brzeg, ponieważ popłyniemy porządnym angielskim statkiem. A tak w ogóle to jest gorąco – stwierdził. – Moglibyśmy się wykąpać. A gdyby tak uchwycić się z tyłu łodzi i płynąć…? Przecież jest sierpień, a my cały tydzień nie będziemy się kąpać. Zauważyliście, że ten kantor ma ze sobą taki wiklinowy koszyk?

– Rabin. – Uśmiechnął się Hans, patrząc w kierunku rzeki.

– Rabin. – Przytaknął Wolff. – I nie ma nawet porządnej walizki. Co może mieć w takim koszyku? Butelkę oleju? Ciekaw jestem, jak wyglądają brzegi na granicach.

– Jak każde inne. Brzegi są wszędzie jednakowe – odpowiedziała Erika, która wciąż siedziała obok Hansa. Ze smutkiem spojrzała na brzeg, na chałupę stojącą na brzegu i na dziewczyny z warkoczami i dodała: – Chodźmy się czegoś napić.

Podnieśli się i ruszyli na rufę, w stronę plandeki.

LADISLAV FUKS (1923–1994), jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej literatury czeskiej. Z wykształcenia filozof i psycholog, znany jest głównie jako autor powieści *Pan Teodor Mundstock* (1963), która przyniosła mu światowy rozgłos. W 1964 roku Fuks wydał tom opowiadań *Moi czarnowłosi bracia*, następnie powieści *Wariacje na najniższej strunie* (1966), *Palacz zwłok* (1967), *Myszy Natalii Mooshaber* (1970), *Śledztwo prowadzi radca Heumann* (1971) oraz *Księżna i kucharka* (1983). W swojej twórczości ukazywał człowieka zniewolonego w świecie przemocy, w scenerii drugiej wojny światowej i Holocaustu. Większość jego dzieł zawiera wątki autobiograficzne.

Miloslav Topinka

Wężowy kamień

Przełożyła Joanna Goszczyńska

I
(Część pierwsza: POSTAWIONA POD PRĘGIERZEM)
I mówi się, że święty
Mochaoi wytrwał przez trzysta lat
w tym lesie, mając wiązkę słomy
i słuchając śpiewu ptaka…
KWIATKI ZIELONEJ WYSPY

1

Liny już od dawna nie są tak napięte, groblom grozi przerwanie. Każdy nowy wiersz zasklepia bliznę, która została po dawnej poezji, a zarazem przynosi bliznę nową, jeszcze głębszą, jeszcze trudniejszą do zasklepienia. Tajemnica, do której nieustannie się zbliżamy, ustępuje przed nami, im bliżej i bliżej jesteśmy. Słowa stają się coraz bardziej wyświechtane, a chusta, początkowo tak delikatna i przezroczysta, sztywnieje i zaciera każdy ślad. Za prawdziwe oczyszczenie płaci się śmiercią. Kiedyś, w czasie Zielonych Świątek, budowano szubienicę, do której mocowano gołębia lub innego ptaka, i aby uczcić święto, oddawano do niego strzały. Ale nawet wtedy często się zdarzało, że piorun uderzał i w szubienicę, i w tych strzelców, ptaka tym samym oczyszczając.

2

Richard Weiner napisał kiedyś: „Słowa to wytrychy, które otwierają wszystko, czyli nic szczególnego". A Henri Michaux mu odpowiedział: „Ale trzeba wiedzieć i to: Nie mamy już słów. Cofnęły się w nas. Tak naprawdę żyje i błąka się wśród nas TWARZ Z UTRACONYMI USTAMI".

Ciernie słów. Kiedy mówię o cierniach, mam na myśli prawdziwe kolce, kolce, które kłują. Słowa, które mnie ranią, ale czasem słowa zranione i ranione.

Pierwotna potrzeba słów zmusza mnie do wewnętrznego zobowiązania. Często zdumiony milczeniem, patrzę na dojrzewanie zranionych słów. Zakres znaczeniowy języka jest o wiele szerszy niż zakres znaczeniowy i zasięg koloru, tonu czy linii. Przestrzeń słowa, w której są oddawane barwne tony, szumy i zgrzyty, która przyjmuje różne kształty, elementarne krzywizny, owe pierwotne elementy, ciemne, tam gdzie jeszcze nie ma głosu, pojawia się w grze odległych korespondencji, tylko pozornie ze sobą niepowiązanych. Dlatego nadal będę mówić o „wymiarze" słowa. A ponieważ przestrzeń już dawno nie jest postrzegana jedynie trójwymiarowo, słowo ma również czwarty wymiar – i kolejne wymiary. Słowa poezji, które smakują przez swoje brzmienie, powstające właśnie na granicy między wzlotem a upadkiem, naprzeciw siebie, twarde i precyzyjne, w dysonansowym napięciu. Słowa, które w ogóle nic nie znaczą, ponieważ są – po zdarciu nieczułej powłoki, która przez tysiąclecia na nich osiadała – jedynym łącznikiem z dawno zapomnianą mową. Przychodzą, a my się od nich odwracamy. Jak dzieci, które do ust dostają drewienko zamiast piersi.

3

Fragmenty dawno zapomnianej mowy wychwytuję ustami, tak jak usta łapią ostatni dech umierającego. Tak, tam za rzeką jest ukryte zarzecze, z którego początek bierze cały mój język. Moje narzecze. Poza tym jesteśmy cisi i niemi. Poza tworzeniem języka, owego przybijania do krzyża, przez które powstają nowe słowa, zawierające to, czego nie da się wyrazić, owego nasłuchiwania czy odsłuchiwania, owego „zwiastowania", jak mówi T.S. Eliot, poezja musi część języka przenieść z powrotem – do krainy milczenia. Valéry milczał dwadzieścia lat, Rilke – czternaście.

„Ważne jest przecież tylko to: samotność, wielka wewnętrzna samotność. Trzeba się na to zdobyć – zagłębić się w siebie i całymi godzinami nikogo nie widywać. Być samotnym tak, jak było się samotnym, będąc dzieckiem, w otoczeniu dorosłych i ich spraw, które wydawały się ważne i wielkie, ponieważ ci duzi wyglądali na bardzo czymś zaabsorbowanych i ich poczynania były dla nas zupełnie niepojęte. I jeśli pewnego dnia ujrzy człowiek, że ich zajęcia są marne, że ich praca zawodowa skostniała i zatraciła związek z życiem, to czemu nie spoglądać dalej na to wszystko jak dziecko, jak na coś obcego, za horyzont mając zawsze głębię własnego świata, rozległość własnej samotności, co sama jest pracą, rangą i zawodem? Czemu mielibyśmy chcieć zamienić mądre niezrozumienie dziecka na niechęć i pogardę. Wszak niezrozumienie oznacza bycie samemu, natomiast niechęć i pogarda – udział w tym, od czego człowiek chce się za ich pomocą odseparować" (Rilke).

Ze spuścizny Halasa:

Principium		principium głód zaspokajające
głodujące		i inspirujące
SŁOWO /głos, tłum/	_____	MILCZENIE /samotność/
	/ marzy o /	

Kierkegaard twierdzi, że w Gibswaldzie znajduje się „Rozstaje ośmiu dróg". Drogi spotykają się tu w zupełnej samotności, ukryte i ciche. Nikt po nich nie chodzi, czasami tylko pojawi się przelotnie jakiś wędrowiec, który ogląda się za siebie tylko po to, żeby go nikt nie znalazł. Nikt po tych drogach nie chodzi, hula po nich tylko wiatr. Zawsze jest tam cicho, zawsze – pięknie. Może to jest właśnie to miejsce, gdzie, jeśli się dobrze wsłuchać, można usłyszeć dawno zapomnianą mowę. Najbardziej odległe słowa, które zabierają nas ze sobą.

4

W poezji najpierw wyemancypował się dotyk, znacznie później – wzrok, a jeszcze później – słuch. Jakub Deml w jednym ze swoich podsumowań pisał: „Tradycyjnie twierdzi się, że Homer był ślepy, ale nie wydaje się wam, że O*dyseja* została stworzona dotykiem?".

W gotyku materia się rozjaśnia, rozświetla się w kierunku wzwyż. Poezję gotycką przenika kanon śpiewów gregoriańskich. Wiersz jest jasny, rozwinięty wszerz w wymiarze czasowym, forma nie jest przysłonięta. Źródło wewnętrznego rozbłysku tkwi przede wszystkim w gotyckiej symbolice. Istnienie tajemnicy jest tylko zasugerowane, zawarte w symbolice spółgłosek, kolorów, w malowaniu dźwiękiem.

Barok – przy całym swoim dualizmie – też pozostaje spójny, bez świadomości rzeczywistego rozziewu. Barokowa dynamika ma ciągle pewne oparcie: czasowe i przestrzenne konstanty architektoniki wiersza. W wierszu, gdzieś w tle, wyczuwa się linię drzeworytu. Konwulsja, ornament, ozdoba mają jak dotąd na ogół charakter organiczny[1].

Wiek dziewiętnasty pokazuje „to, co zna". Ale stałą architektonikę poezja ma jeszcze do czasów R.M. Rilkego. Rilke postrzega rzeczy w ich maksymalnej wielowymiarowości, aż po sytuację graniczną, gdzie rzeczy są jedynie „widziane". Jego Dinggedichte, które *notabene* powstały jako rezultat kontaktu poety z rzeźbami Rodina, oznaczają wyjście poza subiekt, odejście od ICH-wypowiedzi, które do tej pory trwa w poezji, oznaczają patrzenie na świat z wnętrza obiektu. „Każda rzecz może być Panem Bogiem – pisze Rilke. – Musimy jej to tylko powiedzieć. Zwierzę

[1] Dopiero w rokoku pojawia się anakreontyka, afektowana pseudoludyczność.

nie może nim być, ono ucieknie. Ale rzecz, widzisz, rzecz stoi. Kiedy wejdziesz do pokoju, w dzień lub w nocy, stale tam stoi, łatwo może być Panem Bogiem".

Rytm w wierszach Rilkego ma posmak dobrzmiewania. Przy tej dynamice utrwala stałą czasową. Wszystkie te konstatacje zmierzają w jednym kierunku: żeby chociaż w minimalnym stopniu uświadomić sobie ograniczenia i możliwości liryki. U T.S. Eliota rozluźnieniu ulega również stała czasowa, ale w wewnętrznej strukturze zachowana jest stała przestrzenna.

Współczesna poezja porzuciła również te punkty zaczepienia. Ale pewne konstanty są konieczne – należy je wykreować w innych dymensjach. Dlatego wcześniej mówiłem o wielowymiarowej przestrzeni słowa. Płaszczyzny miejsca i czasu przeplatają się w sposób nieciągły i na pierwszy rzut oka w komplementarności niepowiązanej ze sobą. Podstawową relacją w poezji jest ambiwalencja. Uwaga skierowana jest w stronę języka, w stronę słowa. Mówi się o dewaluacji języka, o emocjonalnym nadużyciu słów. Wiersze cechuje nierozwiązywalny dysonans, przestrzeń wiersza jest przestrzenią kadłubową, ułomną.

Dziś twórczość poetycka nie jest ani spowiedzią, ani proroctwem. Poszukuje się nowych możliwości podmiotu lirycznego, ponieważ dziś poezja nie jest wyrazem jego uczuć, nastrojów, wyobrażeń czy idei. Liryka wkracza do „piekła języka". Język to nie tylko „nośnik treści", lecz także „treść sama w sobie".

Od czasów Rilkego poezja przechodzi od rzeczy do relacji, konkretny świat jest zinternalizowany. Ale też trwa Unamunowskie „DO WNĘTRZA!", które w centrum utrzymuje osobę, w tym wypadku – poetę. Trwa dążenie do odkrywania nowych warstw (kierunek: „W DÓŁ!"), początkowo tylko dla tej antropomorfizacji, z której później całkowicie się rezygnuje. Wiersz-doświadczenie liryka zastępuje wierszem-rzeczą, wierszem-eksperymentem. I tu właśnie wyłaniają się mniej lub bardziej wyraźne granice.

We współczesnej poezji przestrzeń wolności rozrosła się do takich rozmiarów, że zaczyna być ciężarem. Kiedy pytam o możliwości, tak naprawdę pytam o to, ile liryka może udźwignąć z tego ciężaru. Brzemię obaw i nadziei.

5

Czas głupich czułości już przeminął.
Léon Bloy

Dziś rzadko można spotkać poetę naiwnego, z bożej łaski, w pierwotnym tego słowa znaczeniu. Zaplecze poezji ciąży na każdym, kto poezję czyta lub „pisze". Takie stwierdzenia są z pewnością drugorzędne, ale przyjmuje się je niejako samo przez się. Sztuka jest przede wszystkim formą, dlatego *JAK* jest o wiele bardziej wyraziste niż CO, jak się milcząco zakłada. Brak „motywacji" we współczesnej poezji jest tylko pozorny. I chociaż nic nie jest oczywiste,

w ludzkiej pamięci są zafiksowane pewne archetypy, istnieją przestrzenie „zanurzające się gdzieś w otchłani". Kurz, krew, mięso i kości, fragmenty mitów, strzępy dzieciństwa, nasłuchiwanie, któremu – bardziej niż cokolwiek innego – towarzyszą strach i dawno zapomniane słowa. Utwory liryczne wykorzystują do pewnego stopnia stałe matryce, obrazy, kręgi wyobrażeń, „gotowe formy". Tak zwane tematy są stałe. Dlatego podkreślam tutaj to *JAK*. Ale pojawiają się też kolejne pytania.

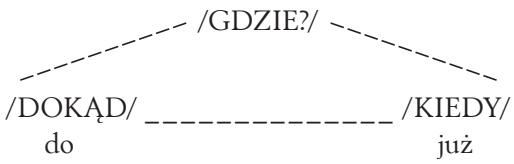

Pytanie *GDZIE?* pojawia się w poezji albo jako TUTAJ (*między* – między murami, między urodzeniem a śmiercią), albo jako *TAM* (*za* murami lub *ponad* murami). O ile *TUTAJ* pozostaje albo może się przesunąć ze środka gdzieś na peryferie, o tyle *TAM*, rozumiane początkowo wertykalnie jako *nad/powyżej* albo czasami i *pod/poniżej*, traktuje się coraz częściej horyzontalnie – jako *za*, również w znaczeniu *przed*. Pytania te można stawiać tylko w powiązaniu z językiem. Jeśli kiedyś pytałem: „Co jest mi oferowane?", teraz pytam: „Co mogę/Co jeszcze mi wolno zaakceptować?".

6

Gottfried Benn odrzuca „wiersz, w którym oddzielają się i konfrontują ze sobą przedmiot wiersza i poetyckie »ja«". Wiersz współczesnej poezji nie jest spójny, zniesiony w nim został czas, zniesiona została przestrzeń, w jednym słowie jest zaklęte całe wewnętrzne doświadczenie, doświadczenie czasu, wizualne lub inne przedstawienie przedmiotu, uchwycenie płynącego (*durée*). Przez jeden wiersz można wejść w niezróżnicowaną podstawę tego wszystkiego, jak to precyzyjnie ujął Paul Klee. Naturalnie zupełnie nowa jest też wrażliwość poety. Podczas gdy w poezji Baudelaire'a człowiek/poeta znajduje się jeszcze w centrum, u Mallarmégo już jest on na drugim planie. Mallarmé jako pierwszy chciał położyć kres poezji ograniczonej jakąś „treścią" czy jakimś „znaczeniem". Poezja współczesna rozwija się następnie, z grubsza rzecz biorąc, w dwóch podstawowych nurtach. Pierwszy charakteryzuje się podejściem ideologiczno-symbolicznym, gdzie przed interpretacją „twarzą w twarz", w bezpośrednim, namacalnym kontakcie z rzeczywistością zostają umieszczone siatka ideologiczna (w najszerszym tego słowa znaczeniu) oraz siatka symboliczna. W początkowym okresie to podejście było całkowicie powiązane z podejściem drugim, które dopiero

później się wyodrębniło – niezróżnicowanie obu było w pełni uzasadnione. To rozróżnienie ma charakter drugorzędny, jest raczej zarysem, mocno subiektywnym, służy bardziej orientacji niż tworzeniu jakiejś struktury. Powstało z potrzeby zorientowania się w zapleczu poezji, co świadomie lub nieświadomie robi każdy, kto w jakikolwiek sposób ociera się o poezję. Podczas gdy jedna gałąź, wywodząca się z symbolizmu, pogłębia ekspresję „emotywności" rzeczy (poezja jest tu przede wszystkim uwolnieniem skojarzeń i fantazji – mam na myśli linię od Apollinaire'a, Marinettiego, zwłaszcza tam, gdzie poetyka Marinettiego jest ściśle związana z poetyką Apollinaire'a, aż do surrealizmu i dalej), druga gałąź stopniowo odwraca się od „symbolu przedmiotu" w stronę „przedmiotu samego w sobie". Sam przedmiot, jak mówi Ezra Pound, staje się symbolem. Jednocześnie odchodzi od ideału „syntetyczności", jaki kreuje każda siatka/matryca ideologiczna. Nie chodzi tu o jakąś gładkość, płynność, o „samo poetyzowanie", ale o „przebijanie się", o bezpośredni kontakt z surową formą, o uprzedmiotowienie. Z tym nieodzownie wiąże się świadomość nośności, wagi i powagi słowa. Ta gałąź (wyeksponowana dopiero przez niemiecki ekspresjonizm, niemieckie Dada, które początkowo było ściśle powiązane z francuskim Dada, Traklem, w Rosji – z Chlebnikowem, z Kruczonychem, gdzie indziej – z T.S. Eliotem, z E. Poundem, z G. Bennem, z poetami nawiązującymi do metafizyki angielskiej i z wieloma, wieloma innymi – ciągłe różnicowanie, odmienność i różnorodność są oczywiste) usunęła padliny słów, maksymalnie wykorzystała też tzw. sytuacje graniczne, wzajemne konfrontacje (międzyprzestrzenie takie jak czułość, samotność, banalność i wiele innych), odsunęła podmiot poety ze „środka zderzaka" na bok, ponieważ – jak twierdzi Klee – człowiek jako jedna z możliwości, będąc na uboczu, ma możliwość wniknięcia w istotę sił formotwórczych. Wytworzyło się w ten sposób coś więcej niż tylko podstawowe przesłanki dla pojawienia się nowej wrażliwości. Do tej pory umieszczałem te dwie linie równolegle obok siebie, ale ich jednakowa waga, zwłaszcza w otwieraniu nowych możliwości poezji, jest tylko pozorna. Podczas gdy pierwsza z dróg stopniowo zmierzała w stronę ślepego zaułka, czyli dziś już się w zasadzie zamknęła, wypełniła, jej granice są wyraźne, a możliwości tkwią jedynie we wstecznym oddziaływaniu pewnych momentów, druga linia wydaje się ciągła, otwarta, przeplatająca się i zdolna do transformacji od wewnątrz i z zewnątrz. Pewne ograniczenia przyniosła ostatnio poezja eksperymentalna, która ukierunkowała tę szeroko zakrojoną gałąź poezji, odkryła zarówno możliwości, które do tej pory były jedynie przeczuwane, jak i własne granice – granice tych możliwości, o których jeszcze bardzo często się zapomina. Z tej wędrówki, z tego błądzenia po zapleczu poezji, po jednej z warstw tego zaplecza, wracam do teraźniejszości, do słowa. Do diaspory słów. Słów, które odeszły, i słów, które nieustannie odchodzą. Słów, z którymi pieścił się kiedyś Rimbaud. A przecież ten sam Rimbaud tak komentował później swoją poezję: „Absurde! Ridicule! Dégoûtant!"

7

Istnieją cztery rodzaje słów znane braminom, ekspertom od Wed – trzy z nich są ukryte, a tylko ostatnie jest wypowiadane. Pierwsze słowo odpowiada absolutowi, drugie – temu, co się urzeczywistnia, trzecie – temu, co pragnie być wyrażone, czwarte, wypowiedziane, odpowiada stwierdzeniu. Japońskie sztuki nō z XIV lub XV wieku są zbliżone do obrazów malowanych tuszem. Kilka czarnych plam na białym papierze przywołuje skojarzenia z zimową drętwotą, z ciszą. Gesty są powolne i precyzyjne. Gry nō też zostały wygnane ze świątyń. Ale przeszły do wyschniętych koryt rzek.

Poezja wciąż próbuje zarejestrować w aluzji, we fragmencie, w ułamku podstawowy rytm człowieka, znaleźć odpowiedni rytm mowy. Słowo poezji jest nie tylko czwartym słowem, lecz także kryształem, na który składają się wszystkie cztery rodzaje słów. Nigdy – nawet w wypadku maksymalnej obiektywizacji – nie podporządkowuje się zwykłej egzystencji, istnieniu rzeczy. Słowa nie są spokojne, nie przychodzą i nie oferują się – słowa muszą zostać wyrwane z języka. „Czyż nie wiecie, drodzy lekarze, że Cézanne miał chorą siatkówkę?" – pyta Georges Rouault. Jeśli powstają nowe słowa, wypływające z pierwotnych możliwości języka, nie ma mowy o udziwnianiu czy o zaskakiwaniu czytelnika, ani o brutalnym zaciemnianiu.

W wierszu można używać tylko słów, które są nośne, pełne i mają swój ciężar, które są precyzyjne i ostre. Nawet wszystkie wędrowne słowa są w wierszu umieszczone w precyzyjnym i stałym miejscu. Słowa są raczej twarde, nie rozpływają się, straciły swój romantyczny „posmak", „kłują ościami". Ich ostrość obraca się przeciwko „iluminacjom" poezji Apollinaire'a. Nie ma potrzeby podkreślać wydzielania przestrzeni dla każdej głoski w wersie. Rytm nie jest ciągłym, nieprzerwanym strumieniem – powstaje w wyniku jakiejś naszej odrębnej „kwantyzacji czasu". Już Jaroslav Durych zauważył, że „jedna sylaba może mieć dwa lub nawet trzy akcenty, i składają się one na tempo i dynamikę wersu". W wierszu ma zastosowanie rytmiczny kontrapunkt. Typowym przykładem był rozwój przymiotnika: od retoryki, wyjaśniania, objaśniania, precyzowania, przez tworzenie nowych kontekstów, aż do zaniku. Ale teraz wszystko się powtarza, kondensuje i ponownie wypływa na powierzchnię w całkowicie zmienionym kształcie. Jednym z najważniejszych postulatów jest wewnętrzna intencja słowa. Szpony słów się zacisnęły. Pragną mojego języka.

8

Poezji jest obca wszelka moc. Nawet moc słów jest ambiwalentna. Jeśli ja mam władzę nad słowem, słowo ma również władzę nade mną. Na ogół ta relacja przechyla się na drugą stronę. Nic nie jest moje. Według niektórych najważniejszym,

a zarazem podstawowym aspektem wyróżniającym poezję słowiańską jest tragizm, który leży w samym centrum jej istoty. Nie wiem, czy tylko słowiańską. Henri Michaux pisze: „Poezja strzeże swoich sekretów przed tym, kto ją tworzy i kto mógłby ulec pokusie myślenia, że jest jej właścicielem". Tutaj kończy się kręcenie się wokół języka, wszystkie te kołki stanęły mi w gardle. Teraz już się nie splamisz.

1967

MILOSLAV TOPINKA (ur. 1945), czeski poeta, eseista, krytyk literacki, krytyk sztuki i tłumacz. Ukończył studia psychologiczne na Uniwersytecie Karola w 1968 roku, przez sześć semestrów studiował również historię literatury czeskiej. W 1968 brał udział w studenckiej ekspedycji (Expedition Lambaréné) do Afryki. W 1969 został redaktorem ważnego dla młodej czeskiej literatury miesięcznika „Sešity pro literaturu v diskusi". Po zamknięciu pisma przez władze komunistyczne pracował jako psycholog i urzędnik. W latach 1980–1987 przebywał w Casablance, gdzie pracował w marokańskiej firmie handlowej. Po powrocie do Czechosłowacji był tłumaczem literatury technicznej. Należy do pokolenia pisarzy debiutujących w okresie czeskiej liberalizacji lat sześćdziesiątych. Pierwszy wiersz ogłosił w 1965 w piśmie „Literární noviny". Jego poezja ma charakter eksperymentalny, przejawia się w niej nieufność w stosunku do ideologii i języka. Interesuje go to, co nazywa „szczeliną" umożliwiającą przejście w inny wymiar. Opublikował tomiki *Utopír* (Utopiór, 1969), *Krysí hnízdo* (Szczurowisko, 1970), *Trhlina* (Szczelina, 2002), biografię Arthura Rimbauda *Vedle mne jste všichni jenom básníci* (W porównaniu ze mną wszyscy jesteście tylko poetami, 1995) i eseje *Hadí kámen* (Wężowy kamień, 2008). Jest też autorem książek dla dzieci *Kniha o Zemi* (Książka o Ziemi, 1979), *Martin a hvězda* (Martin i gwiazda, 1981) i *To neznáte zvířátka* (Nie wiecie nic o zwierzątkach, 1981). W 2021 roku otrzymał nagrodę państwową za twórczość literacką i przekładową.

Karin Lednicka

Krzywy kościół

Przełożyła Joanna Goszczyńska

1894

Barbora źle stąpnie – i noga ześlizguje jej się do bruzdy z mętną wodą, pozostałości po nocnej burzy. Jęknie – i cała grupka na moment zamiera. Siedem par kobiecych oczu wpatruje się w nią z niemym pytaniem, czy da radę dalej iść.

Barbora porusza nogą w kostce, a kiedy nie czuje bólu, kiwa głową, skrajem spódnicy wyciera błoto z łydki i rusza. Nie ma czasu na gadanie, rozmowy odbierają siły.

Grupka ośmiu kobiet i kilkorga dzieci rusza dalej. Mają za sobą dopiero dzień drogi, pierwszy z sześciu. Trzeba iść, nie zatrzymywać się bez potrzeby.

Wokół rozciąga się płaska górnośląska kraina, w całej krasie pierwszego majowego tygodnia. Na łąkach między polami budzą się mlecze w porannym słońcu. Ziemia jeszcze pachnie wiosną, ale ostre słońce w kilka dni wyciągnie z niej ten zapach. „Jeśli będzie paliło tak jak wczoraj, to może przed drogą powrotną mlecze zamienią się w dmuchawce" – przychodzi Barborze do głowy. Zaraz jednak zabrania sobie tak błądzić myślami. Na to też nie jest odpowiedni czas, wędrujące myśli osłabiają uwagę, rozpraszają. Łatwo wtedy zrobić fałszywy krok – i od razu człowiek ma w bucie pełno błota. Gdy będą odpoczywać, pękiem trawy spróbuje wyczyścić błoto.

Wydłuża krok, uspokojona perspektywą rychłej zmiany na lepsze. Na jej szybsze tempo czteroletnia Barka reaguje płaczem.

Jeszcze wczoraj dziewczynka szła całkiem dzielnie. W nocy obudziła ją burza, więc teraz jest niewyspana i marudna. W zeszłym roku też kaprysiła, ale nie aż tak. Nie ma wątpliwości, skąd ta różnica – przed rokiem Barbora mogła wziąć córkę na ręce i przynajmniej od czasu do czasu ją ponieść. W tym roku nie może, ponieważ w jej brzuchu kiełkuje nowe życie. Jest w piątym miesiącu ciąży.

Przed kilkoma tygodniami zastanawiali się w domu, czy Barbora w błogosławionym stanie powinna w ogóle wyruszać do Wieliczki. Ciężarne kobiety zawsze zostawały w domu – taka była stara zasada. Kiedyś nawet dzieci ze sobą nie zabierano. Ale to było w czasach, kiedy po sól chodziło się w znacznie liczniejszej grupie. Połowa kobiet ze wsi zostawała wtedy w domu i pilnowała dzieci tych, które wyruszyły w drogę. Potem się wymieniały. Dzisiaj wszystko wygląda inaczej.

W tym roku wybrało się ich tylko osiem. Gdyby się rozdzieliły i poszły tylko we cztery, mogłoby być niebezpiecznie. Tak czy owak, tradycja pielgrzymek po sól powoli zamiera. Tygodniowa mordęga odstraszyła niejedną z karwińskich kobiet. Poza tym mężczyźni zarabiają w kopalni więcej niż przed laty, więc zysk ze sprzedaży przyniesionej soli nie jest już aż tak znaczący dla rodzinnego budżetu, jak był kiedyś.

Nadal jednak są to dodatkowe pieniądze. Człowiek nigdy nie wie, kiedy będą mu najbardziej potrzebne. Zwłaszcza gdy pod sercem nosi się kolejne dziecko.

Dlatego Barbora postanowiła, że pójdzie na tegoroczną wyprawę. Przekonała męża do tego pomysłu. Jest przecież dobrą gospodynią, przewidującą. Da radę, jest silna i dobrze zbudowana. Wszystkie poprzednie ciąże przechodziła bez żadnych problemów, radziła sobie i z domem, i gospodarstwem, więc dlaczego miałaby nie podołać tygodniowemu marszowi?

Tysiące razy powtarzała mężowi wszystkie argumenty przemawiające za wyprawą. Aż w końcu się zgodził. Z radością go wtedy objęła. Za to teraz człapie smutno z błotem w bucie.

– Františko! – zawołała do dwunastoletniej córki, która szła na samym końcu w grupce starszych dzieci.

– Tak, mamo?

– Chodź, ponieś przez chwilę Barkę, muszę odpocząć.

Františka wymija idące kobiety, bierze siostrzyczkę na ręce i aby ją udobruchać, obiecuje:

– Gdy się zatrzymamy, uwiję ci wianuszek z mleczy. Zobaczysz, jaka będziesz ładna!

Młodsza dziewczynka, uradowana, uspokaja się.

Barbara wzrokiem pieści obie córki i poprawia pasy od kosza. Kiedy w Wieliczce napełni go solą, marsz stanie się jeszcze bardziej uciążliwy. Ciężarem ładunku Barbara się nie martwi – jest silna i nawykła do pracy fizycznej. O wiele bardziej obawia się czego innego – pot, który spływa po plecach, wsiąknie w wiklinowe pręty kosza, a od nich zawilgotnieje też sól. W tym momencie zacznie się największa udręka: pot zmieszany z solą wyżre skórę na plecach, która po trzech dniach popęka do krwi. Trzeba będzie dobre dwa tygodnie smarować ją tłuszczem z leczniczymi ziołami, żeby się zregenerowała.

Wszystkie kobiety przez to przechodzą. Lepiej niż ktokolwiek inny znają powiedzenie o sypaniu soli na rany, w końcu większość z nich każdego roku wyrusza do

Wieliczki. Zawsze na początku maja, kiedy jest już ciepło, ale jeszcze nie zaczęły się intensywne upały.

W tym roku pogoda okazała się zdradziecka. Słońce pali jak w lipcu, a wczoraj przygnało nawet burzę. Na szczęście zastała je u progu nocy, kiedy zdążyły się skryć pod dachem stodoły. Niektóre dzieci stały we wrotach i dopóty obserwowały błyskawice, dopóki matki nie zapędziły ich krzykiem do środka, żeby inne, mniej odważne, się nie bały.

Gospodarz, który dziś pozwolił im przenocować, należał do tych milszych. Polecił nawet czeladnikowi, żeby do stodoły przyniósł im dwa wiadra wody, a dzieciom – dzbanek świeżo wydojonego mleka. Omal się nie pobiły o to, które się najpierw napije. Słodkie mleko to dla nich rarytas, w domu piją kozie. W kolonii nie byłoby gdzie paść krowy.

Wieczorna burza okazała się przelotna, ale po niej przyszła nocą druga, straszniejsza. Pioruny waliły wprost nad stodołą, a o dach wściekle dudniły ogromne krople deszczu. Nie przeszkodziło to zmordowanej Barborze zapaść w twardy sen. Przykryła się derką, którą podobnie jak inne kobiety przyniosła w koszu i położyła się na sianie, tuląc do boków córki. Noce są jeszcze chłodne, muszą się nawzajem ogrzewać. Usnęła, zanim sobie uświadomiła, jaki stęchły zapach ma tegoroczne siano. W ogóle nie słyszała, że w nocy Barka popłakiwała ze strachu, dowiedziała się o tym dopiero rano.

Ze stogu siana schodziły wraz z pierwszymi promieniami słońca. Gospodarz pozwolił im nabrać wody ze studni i dogadał się z Žofią, ile soli będą musiały mu dać w drodze powrotnej za dwa noclegi.

– Policzył nawet za to mleko, które wczoraj dał dzieciom! – psioczyła Žofia, gdy tylko opuściły gospodarstwo.

Wciąż jeszcze narzeka, ale to dla niej typowe. Jest najbardziej energiczna z całej kolonii. W domu też rządzi pewną ręką, aż czasami w gospodzie mężczyźni podśmiewują się z jej męża. Nigdy nie daje się oszukać, dlatego podczas każdej wyprawy to właśnie ona dogaduje się z gospodarzami. Nocleg w drodze do Wieliczki i nocleg w drodze powrotnej. Zapłata w drodze powrotnej uzgodnioną ilością soli.

Barbora bałaby się podjąć takiego zadania, wstydzi się kontaktu z obcymi. Musi człowieka poznać, zanim zacznie z nim rozmawiać. I tę nową, która w zimie wyszła za Antona Siwka, stale jeszcze obwąchuje, zanim pozwoli jej się do siebie zbliżyć. Spotykają się od kilku miesięcy w sklepie i na ulicy, ale jak dotąd poprzestają na wymianie nieśmiałego uśmiechu i grzecznego pozdrowienia.

Wypatrzyła ją wśród maszerujących kobiet. O to nietrudno, ponieważ żona Siwka ma na głowie niebieską chustkę w czerwone kwiaty. Idzie samotnie na skraju grupki, do nikogo się nie zbliża i nikt nie zbliża się do niej, a jej koszyk świeci nowością. Pewnie tuż przed wyprawą kupiła go u wikliniarza. Kiedy wróci do domu, będzie już trochę poczerniały od wsiąkniętego potu i kurzu.

Julia Siwková jako jedyna nie prowadzi dzieci ze sobą. Ani też nie niesie. Dzieciaki, których nogi nie poradziłyby sobie jeszcze z długim marszem, są przez matki niesione w chustach na brzuchach. Nie cieszą się specjalnymi względami, a przerwy są krótkie – przewijanie hamowałoby i tak już powolne tempo. Zawartość pieluszek przesiąka przez chusty i materiał matczynych sukienek i pozostaje tam aż do następnej przerwy, kiedy kobiety próbują chociaż trochę przeprać ubrania. Na ogół jest to jednak marny wysiłek – matki małych dzieci mają po wyprawie skórę wyżartą na plecach od soli, a na brzuchu – od moczu. Tak to wygląda. I trzeba się z tym pogodzić.

Droga gwałtownie skręca w prawo. Za zakrętem wyłania się sosnowy las, na skraju ozdobiony białymi pniami brzóz. „A nuż Žofia da znak do odpoczynku…" – zastanawia się w duchu Barbora. Przecież idą już kilka godzin. Chciałaby przez moment nacieszyć się cieniem i wnętrze buta wyczyścić z błota. Nie ma jednak odwagi poprosić o przerwę, żeby nie wyjść na słabeuszkę. Mądrze oszczędza względy innych na drogę powrotną, kiedy będzie o tysiące kroków bardziej zmęczona.

Nie chce hamować marszu. Wie, że na każdą z kobiet czeka w domu mąż, który na czas wędrówki po sól musi – oprócz własnej pracy – zająć się domem. Tak to wygląda w lepszym wypadku. W gorszym mężczyzna nie robi nic, ponieważ czas nieobecności żony skraca sobie popijaniem. Barbora dokładnie wie, które kobiety dręczy ta obawa. Nawet niewprawne oko może je łatwo rozpoznać – ich krok jest najbardziej energiczny, wargi mają zaciśnięte, a z oczu przebija lęk o to, co je czeka po powrocie do domu.

Ale Františka tego nie zauważa. Dwunastoletnia dusza nie wie nic o lękach dorosłych kobiet. Na rękach niesie siostrzyczkę. Stara się być jak najbardziej pomocna matce, ale nie wytrzymuje zbyt długo. Dziecięce ramiona zaczynają odczuwać ciężar, nie są nawykłe do takiego wysiłku.

– Mamo, już nie mogę, muszę Barkę postawić...

Barbora wzdycha, ponieważ wie, że Barka natychmiast zacznie marudzić. I nie myli się. Pierwszy jęk dziewczynki daje się słyszeć już po paru krokach. Barbora zauważa kilka spojrzeń i uniesionych brwi, które chlipiąca Barka prowokuje. Znowu wzdycha. „Może naprawdę nie powinnam w tym roku iść do Wieliczki…? – ogarnia ją chwila zwątpienia. Mogli przecież kupić sól w sklepie, nawet jeśli jest tam tak nieprzyzwoicie droga. Ale z drugiej strony – kto wie, co będzie za rok. Z trójką dzieci szłoby się jeszcze gorzej, może nawet w ogóle nie mogłaby wyruszyć. Nie, podjęła dobrą decyzję, kiedy postanowiła iść w odmiennym stanie. Wytrzyma to, ma silną wolę. Przyniesie zapas soli na dwa lata, tak jak to z Pawlem uzgodnili, żeby za rok już nie musiała chodzić.

Mimo pieczołowicie wypracowanego postanowienia czuje jednak, że nogi znowu zaczynają jej puchnąć, a na tej w zabłoconym bucie robi się pęcherz.

– Žofio! – woła w stronę postawnej postaci na czele grupki. – Muszę odpocząć.

– Nie wytrzymasz jeszcze trochę? Tutaj nie ma żadnego cienia.

– Możemy wrócić kawałek do tego lasku. – Barbora pokazuje do tyłu, ale wie, że na to się nikt nie zgodzi.

Ciche szemranie potwierdza jej domysł.

– Nie, wracać nie będziemy. Musimy iść dalej. Zatrzymamy się przy najbliższych drzewach. Do tego czasu musisz wytrzymać.

– Dobrze – jęknie Barbora. Wlecze się noga za nogą, wzrok wbija w ziemię, żeby nie dręczyć się patrzeniem na drogę wijącą się po płaskiej krainie aż po horyzont, usianą jedynie kępami krzaków, które nie dadzą na tyle cienia, żeby warto się było przy nich zatrzymać.

Wystarczająco duża kępa drzew pojawia się dopiero po dłuższym czasie, kiedy jest już jasne, że nabrzmiały pęcherz pękł. Barbora zdejmuje but i ogląda krwawą ranę na pięcie. Jak z czymś takim będzie szła przez następne sześć dni?! Do oczu zaczynają jej napływać łzy. Z wściekłością ją powstrzymuje. Nie będzie przecież beczeć. To do niej niepodobne.

– Pokaż – słyszy nad sobą głos. Barbora podnosi wzrok i widzi twarz Julii Siwkovej. Spośród wszystkich kobiet przyszła jej pomóc akurat ona?! Ale może nie jest to aż takie dziwne, skoro – w przeciwieństwie do innych – do Wieliczki idzie pierwszy raz i jeszcze nie pogania jej pragnienie, żeby mieć to za sobą jak najszybciej.

– Oczyszczę ci to – mówi Siwková. Ze swojego kosza lśniącego nowością wyjmuje manierkę z wodą i palcem zaczyna obmywać ranę z błota. – Spróbuję znaleźć liść babki. Zostaw to na razie tak, niech wyschnie – dodaje, kiedy na pięcie widać już tylko czystą krwawą plamę. Barbora jest jej wdzięczna, bardzo wdzięczna nie tylko za samo opatrzenie rany, ale i za tych kilka dodatkowych chwil odpoczynku potrzebnych do opatrzenia bolącej nogi. Wystawia ranę na wietrzyk, który na szczęście zaczyna powiewać, skubie najbliższe kępy trawy i próbuje wyczyścić nimi bród w bucie.

Ciężko to idzie. W ciągu ciepłego dnia błoto zaschło i trawa nie wystarcza do usunięcia twardej skorupy. Wzrokiem szuka w trawie patyka, który bardziej by się do tego nadawał, ale nic nie znajduje. Woła więc na pomoc Františkę.

– Przynieś mi coś, czym będę mogła wyskrobać to błoto – prosi i dobrych parę chwil walczy z niezadowoleniem z samej siebie. „Tylu osobom zawracam głowę! – wyrzuca sobie w duchu. – Duma i chciwość nie pozwoliły mi zrezygnować z tegorocznej wyprawy, a teraz siedzę tu i pozwalam się obskakiwać niczym jakaś paniusia".

Barbora potrafi być dla siebie surowa, nauczyła się tej sztuki już jako mała dziewczynka.

Ale teraz nie ma siły na surową samokrytykę. Siedzi na trawie, opiera się o pień olchy i czeka na Siwkovą. Stara się unikać wzroku pozostałych kobiet. Nie ma wątpliwości, że są na nią złe, ponieważ opóźnia marsz. Gdyby była na

ich miejscu, też byłaby zła. Wszystkie chcą to mieć jak najszybciej za sobą i znaleźć się w domu, ponieważ z każdym dniem nieobecności gospodarstwo domowe podupada. Mężczyźni muszą przede wszystkim fedrować. Domu i ogrodu już porządnie nie ogarną, zawsze po nich zostaje mnóstwo niedoróbek. A poza tym jest inna ważna zasada: nie wolno opuścić niedzielnej mszy. Wyprawa po sól wyrusza tradycyjnie w niedzielę, gdy ksiądz przed południem pobłogosławi ją w kościele. A potem trzeba iść tak szybko, żeby najpóźniej przed kolejną niedzielną mszą być z powrotem. Ale jak będą tak przystawać, mogą nie zdążyć. Barbora opóźnia marsz.

Czuje się kiepsko i na ciele, i na duszy.

Woli zamknąć oczy i słuchać, jak na polach śpiewają skowronki.

Najchętniej byłaby w domu, spokojnie by odżałowała te zaoszczędzone pieniądze. Albo przynajmniej by się położyła i przespała. Ale ani nie jest w domu, ani nie może się przespać. Diabli nadali!

Dobrze chociaż, że te skowronki tak pięknie śpiewają.

– Pokaż tę nogę. – Ptasie trele przerywa ludzki głos. Siwková jest już z powrotem i w dłoniach rozgniata kilka listków babki. – Wycisnę sok do rany i zawiążę ci to chustką, żeby but rany nie ocierał. Szybko się zagoi, zobaczysz.

– Dziękuję, miła jesteś.

– No wiesz, jaka tam miła. Daj tę nogę.

Barbora syknie, kiedy Siwková wciska zmiażdżone liście babki do rany. Ostry ból trwa na szczęście tylko moment i zmienia się w ucisk.

– Teraz ci to zawiążę – mówi Siwková i ze swojego kosza błyszczącego nowością wyciąga chustkę, w którą ma owinięty chleb, żeby po drodze nie stwardniał. W milczeniu się jej przygląda. Kiedy obwiąże nią nogę, warstwa tkaniny będzie za gruba i but będzie w dalszym ciągu uciskał. Obie kobiety uświadamiają to sobie w tej samej chwili. I kiedy Barbora nabiera powietrza, żeby zaprotestować, Siwková rozkłada chustkę, jeden róg wkłada do ust, między zęby, i rozdziera ją. Z jej z ust zwisa strzęp materiału. – Teraz już będzie akurat tak jak trzeba – oznajmia z zadowoleniem i zabiera się do pracy.

– Stwardnieje ci chleb, jeśli go nie będziesz miała w co porządnie zawinąć – mówi Barbora ze zdziwieniem w głosie. Brzmi to niemal jak pytanie.

– Mam przecież zdrowe zęby. Wytrzymam tych parę dni. Ty teraz bardziej potrzebujesz tej *handerki*.

Barborę ze wzruszenia pieką oczy. Nie nawykła, żeby ktoś się tak o nią troszczył. Siwková pomaga jej się podnieść i przez pierwszych kilka kroków ją podpiera.

– Dasz radę? – pyta i uświadamia sobie, że takie samo pytanie widać w sześciu parach oczu kobiet czekających w zagajniku.

– Dam.

Jak na komendę wszystkie pozostałe kobiety zaczynają się podnosić. Wołają dzieci bawiące się na łące. Dzieci niechętnie wracają, bo wiedzą, że czeka je kilka

dalszych godzin marszu. Nagrodą będzie przerwa na obiad, w czasie której dostaną kromkę chleba, kawałek sera i marchewkę do schrupania.

Jako ostatnie wracają z łąki Františka i Barka.

– Przepraszam, mamo, że ten patyk przynoszę dopiero teraz. Musiałam Barce uwić wianuszek. Obiecałam jej to. Może będzie szybciej iść, jak go będzie miała na głowie.

– Może – przytakuje Barbora. – Wyczyszczę but, jak będzie następna przerwa na odpoczynek. Teraz Julka mi ranę zawiązała. Napijcie się jeszcze i możemy iść.

– Julka to pani Siwková? – upewnia się Františka.

– Tak – potwierdza matka i wymienia uśmiech ze swoją dobrodziejką.

Pora ruszać. Grupa kobiet pokonuje następny kawałek długiej drogi. Barbora i Julka maszerują obok siebie i tak już zostanie do końca.

Do Karwiny wróciły w sobotę, kiedy zaczynało zmierzchać. Barbora ledwo powłóczyła nogami. Modliła się, żeby w ogóle dojść. Jak można było się spodziewać, do bólu opuchniętych nóg dołączyło szczypanie poharatanych pleców. Z tym wszystkim się liczyła. Ale jej lęk budziły skurcze w brzuchu, które pojawiły się poprzedniego dnia i się nasilały.

Z dłońmi na wybrzuszeniu, w którym skrywało się śpiące nieruchomo jej nienarodzone dziecko, odmierzała kroki, dziękując Bogu za troskliwą opiekę Julki. Początkowo Julka brała jeszcze na ręce zmordowaną Barkę, ale potem nie było już takiej potrzeby – dziewczynka jakby wyczuła, że z matką jest źle, więc przestała marudzić. Barbora od Bielska nie odezwała się ani słowem, z pochyloną głową obserwowała ruch swoich nóg na zakurzonej polnej drodze.

Pozostałe kobiety też zrozumiały, że Barbora jest u kresu sił. Większość z nich już nie unosiła drwiąco brwi, kiedy za pośrednictwem Julki prosiła o chwilę odpoczynku.

Kiedy minęły Fryštat i od domu dzieliła je już tylko godzinka marszu, część kobiet odłączyła się od grupy i przyspieszyła, żeby po powrocie do domu jak najszybciej zabrać się do pracy. Nabrać wody ze studni, zagrzać ją na kąpiel. Siedmiodniowy marsz pokrył ich ubrania warstwą błota i kurzu, włosy miały potargane, a ciała śmierdziały tygodniowym potem. No i te plecy…! Sztywne, czerwone, bolące, domagające się kojącej maści.

Barbora człapie na końcu grupki maruderów. Julka idzie obok niej i z narastającym lękiem obserwuje ręce na brzuchu przyjaciółki. Początkowo palce lekko opierały się na brzuchu, teraz mocno się zaciskają, aż bieleją im stawy, jakby chciały przekonać dziecko, że ma zostać tam, gdzie jest, że jeszcze nie przyszedł jego czas.

– Františko, weź Barkę i biegnijcie naprzód – mówi Julka do obu dziewczynek, kiedy kolonia jest już w zasięgu wzroku. – Powiedzcie tacie, że lada moment przyjdziemy.

– Dobrze, pani Siwková – odpowiada Františka. Bierze za rękę młodszą siostrę i rusza z nią do domu.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. – Julka podpiera kobietę, którą sześć miesięcy obojętnie mijała na ulicy, a którą od czterech dni uważa za przyjaciółkę. Nigdy nie wiadomo, co ludzi zbliży.

– Barboro! – słychać męski krzyk.

Pawel biegnie im naprzeciw, niecierpliwie, niemal desperacko.

– Moja Barunko… – woła już ciszej, kiedy do obu kobiet zbliży się na kilka kroków. – Dziewczynki mi wszystko powiedziały. – Ujmuje w dłonie poszarzałą twarz żony, a w jego oczach widać strach. Po czym odwraca się w stronę Julki: – Dasz radę wziąć też kosz Barbory?

– Dam. Co bym miała nie dać.

– To dobrze.

Pawel zdejmuje pasy z ramion żony, kosz podaje Julce i Barborę bierze na ręce.

– Już dobrze, już jesteś w domu – szepcze jej do ucha uspokajającym głosem.

Barbora potakuje i pozwala się zanieść do domu, rozebrać i położyć do łóżka. I zasypia.

Przywrotnik, nagietek, wrzos, pięciornik, macierzanka. Wywar w malowanym garnku pachnie jak letnia łąka. Pawel wdycha parę unoszącą się z ziół i śpiącej żonie niesie kubek do łóżka.

Po mszy Julka Siwková podała mu płócienny woreczek z ziołami. „Ugotuj jej z tego herbatę, pomoże utrzymać ciążę". Jej gest go zaskoczył, ponieważ całe te pół roku, od czasu kiedy przeprowadziła się do kolonii, z nikim nie zamieniła ani słowa. „Jedno warte drugiego" – mawiali ludzie, ponieważ Siwek też był od zawsze małomówny, z nikim się nie przyjaźnił i do gospody też wstępował rzadko, raczej popijał sam w domu.

Ale w drodze do Wieliczki coś się między Barborą a Julką wydarzyło. Pawel jeszcze dokładnie nie wiedział co, ale z całą pewnością było to coś dobrego. Zatroszczyła się, przyprowadziła mu żonę do domu. I zioła przyniosła na mszę. Dobra kobieta.

Wziął od Julki woreczek z surowego płótna i serdecznie podziękował. Twarz Barbory, którą zobaczył wczoraj wieczorem, wykrzywiały zmęczenie i ból. To spojrzenie go przeraziło. W tak opłakanym stanie nigdy przedtem swojej żony nie widział. Kiedy ją wziął na ręce, była jak bezwładna szmaciana lalka, którą uszyła Františce, żeby miała się czym bawić. Usnęła, gdy tylko zdjął z niej zabłocone ubranie, a z nogi odwinął zakrwawiony strzęp materiału. Rana na pięcie nie wyglądała za dobrze, ale o wiele bardziej martwił się wzdętym brzuchem, twardym jak kamień.

Rano wziął dzieci i sami poszli na mszę. „Sen jest najlepszym lekarstwem" – mawiała jego matka. I dokładnie to samo on teraz mówi swojej żonie, która dała mu trójkę dzieci, a niedługo da mu czwarte, o ile nie stanie się nic złego. Tego ranka wszystkie jego modlitwy kierowały się w stronę tego nienarodzonego.

Wyrzuca sobie, że zgodził się na tę wyprawę do Wieliczki. Powinien jej to wyperswadować. Nie powinien ulec jej przekonywaniom, że za rok wyprawa po sól będzie dla niej jeszcze bardziej uciążliwa – dziecko nie będzie miało nawet roku, więc całą drogę będzie je musiała nieść w chuście na brzuchu. Powinien machnąć ręką nad tymi jej obliczeniami, ile kosztuje sól w Wieliczce, a ile tutaj, w Karwinie. Przecież daliby jakoś radę, skoro Karel ma już czternaście lat i może zacząć fedrować. Nie zarobi wprawdzie wiele, ale i to niewiele przyda się w domowym budżecie.

Powinien coś zrobić, choćby jej zabronić, ale nie zrobił nic. Uległ kobiecym naleganiom i teraz stoi tu z gorącym kubkiem, wbija wzrok w Barborę i boi się ją obudzić.

Wygląda już trochę lepiej. Sen zmazał z jej twarzy popielatą barwę i zastąpił ją zwykłą bladością. Ale skóra stale jest matowa, jakby była z wosku. Popękane wargi przypominają ziemię w suchy, upalny dzień. Potargane kosmyki ciemnych włosów są pełne kurzu, a za paznokciami widać brud. Pawlowi ściska się gardło. Siada na krawędzi łóżka i prawą ręką gładzi Barborę po czole. Ta, nie poruszając się, coś mamrocze i śpi dalej.

– Przyniosłem ci lekarstwo – mówi Pawel, ale nawet dźwięk jego głosu nie jest w stanie Barbory obudzić.

Kładzie jej rękę na brzuchu, żeby sprawdzić, czy stale jest taki twardy jak wczoraj. Wydaje mu się, że trochę zmiękł. To go uspokaja. Siedzi w milczeniu i znowu się modli.

Od drzwi dobiega go jakiś szelest. Ogląda się i widzi, że trójka dzieci wbija w niego pytający wzrok.

– Mama nie umrze? – pyta Barka, ponieważ jej czteroletnie usta nie boją się jeszcze stawiać takich pytań.

– Nie umrze – odpowiada Pawel głucho. I nawet nie chce myśleć o takiej możliwości.

Bo jak by sobie bez Barbory poradzili? Już tych parę dni, kiedy jej nie było, miał co robić. Starał się uporać z całą kobiecą pracą, bez której nie mogliby się obyć. Gdzie się dało, brał do pomocy Karela, ale wszystko zajmowało im bardzo dużo czasu, a rezultaty zawsze były mizerne i blade. Podłoga zamieciona przez Barborę jest zawsze jakaś taka czyściejsza, umyte naczynia się nie lepią, a woda z gotujących się ziemniaków rzadko kiedy wykipi. Jedynie do prania roboczych spodni nie miał odwagi się zabrać, to zostawił na niedzielę dla Barbory.

Dla Barbory… Na niedzielę… Rany boskie, przecież zostały brudne!

– Františko, chodź tutaj. – Ruchem dłoni przywołuje starszą córkę i prosi półgłosem: – Weź balię i tarę, zagrzej wodę w dużym garze i wypierz galoty moje i Karela, żebyśmy mieli w czym jutro iść do pracy. Zrób to od razu, żeby zdążyły wyschnąć. Wolałbym, żeby nie dosychały rano na mnie.

– Dobrze, tato – szepcze Františka i idzie wykonać zadanie.

Pawel ma wrażenie, że robi to chętnie. Jakby perspektywa sensownego zajęcia przynosiła jej ulgę. Albo może pretekst, żeby wyjść z kuchni, w której leży chora matka? Właściwie trudno się dziwić. Które dziecko chciałoby patrzeć, jak matka cierpi?

„Żadne" – decyduje Pawel i wysyła Karela, żeby narąbał drewna, a Barkę – na pastwisko z kozą. Sam siedzi dalej na łóżku i patrzy na żonę. Z bezsilności i ze strachu zaciska pięści. Zagryza zęby, zaciska wargi, oddycha przerywanie.

– Barunko – prosi po dłuższej chwili, kiedy już nie może wytrzymać tego wyczekiwania – Barunko, proszę cię, obudź się.

Tym razem dźwięk jego głosu dociera do Barbory i przerywa jej sen.

Świeżo obudzona, mruga i otwiera oczy. Chwilę patrzy nieobecnym wzrokiem, zanim, otumaniona, rozpozna, gdzie jest. „Kuchnia…? Moja kuchnia…?". Zegar na ścianie, pęknięty kafelek na piecu, obrazek między oknami, trochę krzywo wiszący… Jej ciało drży od zalewającej ją fali radości. „Już dobrze, już jesteś w domu" – przypominają jej się wczorajsze słowa męża. Kochany Pawel tak się o nią troszczył…! Barbora jak przez mgłę przypomina sobie ostatnie momenty drogi: tępy, pulsujący ból brzucha, pieczenie zranionej nogi, szczypanie poharatanych pleców, wreszcie Pawel i jego silne ręce, które oszczędziły jej ostatniego kawałka drogi.

Barbora sięga pod pierzynę i dotyka brzucha. Już nie jest taki twardy jak wczoraj. Oddycha z ulgą i ponownie zamyka oczy. Tak bardzo się bała, że straci dziecko…! Każdy krok, który musiała zrobić, napawał ją strachem. Kobiety, które początkowo psioczyły, też już pod koniec miały lęk w oczach.

„Nie było to z mojej strony zbyt mądre, żeby ruszać w taką drogę" – pomstuje na siebie w duchu. Ale to samopotępienie wcale dobrze na nią nie wpływa, więc zdecydowanie je ucina. Po co płakać nad rozlanym mlekiem? Najważniejsze, że jest już w domu, że dziecko w niej śpi i wszystko znowu będzie dobrze. Pawel też tak mówił, a on rzadko się myli.

Unosi powieki, a ponieważ nie musi już sprawdzać, gdzie się obudziła, zauważa postać siedzącą na krawędzi lóżka. Uśmiecha się do męża.

– Dzień dobry – słyszy jego głos.

– Długo spałam? – pyta Barbora, jakby to było ważne.

– Tyle, ile potrzebowałaś.

Barbora przesuwa wzrok w stronę zegara wiszącego na ścianie i z lękiem podnosi się na łokciach.

– Przegapiłam mszę. Ksiądz będzie zły.

– Nie będzie. Wie o wszystkim. A Julka przyniosła ci zioła. – Podaje jej kubek z herbatą. – Masz, wypij, już jest prawie zimna. Dobrze ci zrobi.

Barbora, spragniona po wyjątkowo długim spaniu, pije łapczywie.

– Już się czuję lepiej – mówi po chwili. – Ale na mszę mieliście mnie obudzić. To nie w porządku, że pozwoliliście mi tak długo spać.

– Daj spokój – przerywa jej Pawel. – Aż dziwne, że doszłaś do domu o własnych siłach.

– Nie doszłam o własnych siłach. – Barbora po raz pierwszy się uśmiecha. – Przyniosłeś mnie. I przeniosłeś przez próg, jak po ślubie. – Głaszcze go po ramieniu. – Tęskniłam za tobą.

Paweł też ją głaszcze, ale nie chce ciągnąć tej rozmowy. Od wczorajszego wieczoru tyle się wydarzyło, że więcej już nie jest w stanie znieść, wchłonąć.

Barbora rozumie, przecież dobrze zna swojego męża.

– Chciałabym się umyć – zmienia temat.

Pawel zrywa się na równe nogi, wdzięczny za to zadanie, podobnie jak mniej więcej przed godziną Františka i Barka. Praca bardziej mu leży niż rozmowa.

– Zagrzeję ci wodę. A na razie zostań w łóżku, przyjdę po ciebie.

Barbora w milczeniu kiwa głową. Cieszy się, że jest w domu. Cieszy się, że ma tak dobrego męża.

Kiedy z poniedziałku ubyły już cztery godziny, Pawel ostrożnie podnosi się z łóżka, żeby Barbory nie zbudzić. Po ciemku idzie korytarzem między kuchnią a sypialnią i potrząsa Karela za ramię.

– Już czas – mówi prawie szeptem, ponieważ chce, żeby obie dziewczynki też się wyspały.

Karel siada i mruga w ciemności. Jeszcze nie przyzwyczaił się do wczesnego wstawania, do pracy zaczął chodzić dopiero od niedawna, kiedy skończył czternaście lat. Na szczęście zdążył się już zorientować, że kiedy twarz opłucze zimną wodą i coś zje, senność mija. A jej resztki rozchodzi w drodze do kopalni – półgodzinny szybki marsz każdego obudzi.

Maca ręką po oparciu łóżka, gdzie zwykle ma przewieszone ubranie, ale tym razem trafia tylko na drewno. Po chwili dezorientacji przypomina sobie, że wczoraj po południu siostra Františka prała robocze spodnie i koszule. Na bosaka, w bieliźnie przechodzi głównym korytarzykiem i idzie do ogródka na tyłach domu, gdzie między dwoma grubymi palami jest rozciągnięty sznur. Wiszą tam dwie pary spodni i dwie koszule, wilgotne od wczorajszego prania i dzisiejszej rosy.

Zaczyna się ubierać i czuje, że wilgotne ubranie chłodzi mu skórę. Niewiele brakuje, a zacząłby się złościć, ale postanawia nie być marudą. Czy prawdziwy mężczyzna narzeka z powodu chłodu? Karel chce być prawdziwym mężczyzną, twardym, pracowitym. Nie zniósłby, gdyby ktoś się z niego wyśmiewał, że jest słabeuszem. Na razie nie ma jeszcze dość siły na harówkę pod ziemią, ale wie, że jeśli będzie się starał, to wkrótce urosną mu mięśnie i poradzi sobie z taką samą pracą jak dorośli mężczyźni.

Wciąga wilgotne spodnie. Stawiają opór, materiał szoruje po skórze. Kiedy wreszcie w pasie zaciśnie parciany pasek, wciąga koszulę, ze sznurka zdejmuje robocze ubranie ojca i wraca do cichego domu.

Ojciec siedzi w kalesonach i w podkoszulku, na szczycie kuchennego stołu, kawę zbożową popija z ulubionego kubka i zagryza chlebem. Brodą wskazuje Karelowi stojące obok krzesło. „Jedz, za chwilę musimy iść" – mówi jego spojrzenie.

Karel siada i z deski leżącej pośrodku stołu bierze najgrubszą kromkę i smaruje ją czosnkiem utartym z solą. Obstukuje skorupkę jajka. Od czasu gdy zaczął chodzić do pracy, zjada o wiele więcej niż przedtem. Czasami aż mu wstyd, kiedy przy kolacji prosi mamę o dokładkę. Ale ona się tylko śmieje. „Ja teraz muszę jeść za dwoje, a ty – za troje" – mówi i z garnka nabiera jeszcze jedną chochlę zupy.

Obraca wzrok w jej stronę. Śpi na boku, wygląda na spokojną, cicho oddycha. Musi nabrać sił, to jest teraz najważniejsze. Pomogą jej ze wszystkim, żeby tylko jak najszybciej wyzdrowiała, żeby wszystko było jak dawniej. Żeby nie musieli się już o nią bać.

Jedzą w milczeniu. Gdy kończą śniadanie, resztę kawy przelewają z garnka do manierek. Ojciec dodaje odrobinę *kwitu*, żeby na szychcie mieć dosyć siły, zamyka wieczka, do torby wkłada chleb i cebulę – na obiad. Karel nie może powstrzymać rozbawionego drgania warg, kiedy widzi, że ojciec wzdryga się przed założeniem wilgotnego ubrania. Walczy z nim, podobnie jak przed chwilą walczył jego syn.

– Niech tam…! – Wzrusza w końcu ramionami. – Pójdziemy szybciej i wyschnie na nas!

Mogą iść.

Z niewielkiego pagórka, na którym stoi ich domek, kierują się w dół, w stronę kościoła, w którym właśnie zaczęto przebudowywać wieżę. Ta stara jest podobno za wysoka. Mówi się, że mogłaby się zawalić, skoro głęboko pod nią kopie się węgiel i ziemia się rusza. Lepiej postawić nową, niższą i umocnioną ryglówką, żeby wytrzymała. Karel nie ma pojęcia, jak długo kościół tu stoi. Ale chce wierzyć, że inżynierowie wiedzą, jak to zrobić, żeby nowa wieża została już na wieki. Przecież nie mogą pozwolić, żeby kościół się zawalił.

Mijają cmentarz i skręcają w prawo na szeroką drogę, po której w ciągu dnia jeżdżą powozy. Tak wczesnym rankiem nie słychać jeszcze ich turkotu, nie słychać nawet brzęczenia baniek mleczarza. Na razie dają się słyszeć tylko strzępy słów, na ogół polskich, rzadziej – czeskich, wypowiadanych chrapliwym głosem. Po głównym trakcie na Fryštat kroczą jedynie setki męskich nóg, starają się omijać głębokie bruzdy po kołach i duże grudy gliny. Dzisiaj jest sucho i idzie się dobrze, ale po deszczu kurz na drodze miesza się z kurzem węglowym, przywianym z niedalekich szybów, więc człowiek potem do roboty i do domu wnosi buty oblepione grudami sczerniałego błota.

Po chwili część postaci z manierkami skręca. To są ci, którzy pracują na Františce. Reszta mężczyzn idzie dalej, w stronę szybu Jan-Karel, od którego bramy dzieli ich jeszcze dobrych dwadzieścia minut marszu. Oba szyby należą do hrabiego

Larischa – na powierzchni mają wprawdzie różne nazwy, ale głęboko pod ziemią są połączone korytarzami.

Do Pawla i Karela dobiegają odgłosy dalekich rozmów, od czasu do czasu rozlega się też śmiech. Ale oni milczą, pogrążeni w myślach o wydarzeniach ostatnich dwóch dni.

Z tygodniową nieobecnością Barbory jakoś sobie poradzili, chociaż wiadomo, że kobiecej ręki zawsze w domu brakuje. Ale teraz grozi im, że słabość przywiąże ją do łóżka na bóg wie ile kolejnych dni, co zwłaszcza Pawla napełnia chmurnymi myślami. Woli nawet nie myśleć, co się mogło w drodze do Wieliczki wydarzyć. Mogła stracić dziecko! Zna ją dobrze, nigdy by sobie tego nie darowała, pogrążałaby się w smutku, a wieczorami zamiast gorącego uścisku czekałyby na niego gorzkie łzy.

Pawel się otrząsa, żeby odpędzić straszną wizję. Po co zaprzątać sobie głowę tym, czego nie ma. Trzeba brać rzeczy takimi, jakie są. Barbora jest silna, da sobie radę, wyzdrowieje. I znów wszystko będzie po staremu. Poradzą sobie ze wszystkim, skoro już i Karel zaczął pracować. Ojciec kieruje wzrok na syna, który idzie obok niego z lekko pochyloną głową, skulony w porannym chłodzie. Pawla jeszcze trochę wzruszają jego szczupłe, chłopięce ramiona, które harówkę w kopalni opłacają skrajnym wyczerpaniem. Pewnie i na łożu śmierci będzie miał przed oczami pierwszy dzień, w którym Karel zjechał do kopalni. Młody *cyp*, przerażony tym, że nie wie, co go tam na dole czeka. Dumny, że wkracza w męski świat. I zupełnie wykończony po szychcie, w drodze powrotnej do domu. Ręce i nogi trzęsły mu się ze zmęczenia, chociaż oczywiście dostał lżejszą pracę. Jakby inaczej – jego czternastoletnie ciało nie wytrzymałoby nawet połowy tego, co zniesie dorosły mężczyzna. Ale mimo wszystkich ulg i tak było tego dla Karela za dużo. Do domu ledwo się wtedy dowlókł, w czasie kolacji z trudem utrzymywał łyżkę w ręce. Nawet chciał zrezygnować z jedzenia i iść prosto do łóżka, ale ojciec mu na to nie pozwolił. „Jedz – powiedział. – Potrzebujesz nabrać siły na jutro". Karel podniósł na niego wzrok, a w jego oczach widać było zwątpienie i rozpacz. Był *w dziurze* tylko raz – i omal go to nie wykończyło. Żołądek mu się ściskał na myśl, że jutro znowu miałby tam pójść. A potem znowu i znowu. Całe życie. Bóg wie, ile lat. Rany boskie! „Dasz radę, nie bój się. Wszyscy daliśmy radę" – Pawel próbował rozwiać strach syna, który tak dobrze znał. Wystarczyło trochę pogrzebać we własnych wspomnieniach – z niego też szychta wyssała wszystkie siły, kiedy jako czternastolatek zjechał pierwszy raz na dół. Trwało to jakiś czas, zanim jego mięśnie i myśli przystosowały się do codziennej harówki. I jego też wtedy ojciec pocieszał i dodawał mu odwagi. „W życiu wszystko się powtarza" – wzrusza Pawel w duchu ramionami. Karel to dobry *synek*. Pracowity, miły, posłuszny. Pawel jest z niego dumny. I do pracy też się szybko przyzwyczai, o to się Pawel nie martwi.

Nagły napływ uczuć sprawia, że obejmuje szczupłe ramiona Karela i idą tak na wzgórze, do szybu.

Na drzewach, które Larisch polecił zasadzić wzdłuż drogi prowadzącej do bramy, śpiewają ptaki. Słońce coraz wyżej wędruje po niebie, zaczyna się kolejny ciepły dzień. Ale oni przez dziesięć godzin będą przed nim skryci w ciemności, głęboko pod ziemią.

KARIN LEDNICKÁ, czeska pisarka, tłumaczka i wydawca. W styczniu 2020 roku ukazała się jej debiutancka książka *Šikmý kostel. Románová kronika ztraceného města, léta 1894–1921*, której akcja rozgrywa się w dobie narastającego polsko-czeskiego konfliktu narodowościowego w okolicy kościoła św. Piotra z Alkantary w Karwinie w Zagłębiu Karwińskim. W 2021 roku wydała drugi tom powieści *Šikmý kostel*, a w 2022 roku *Životice: obraz (po)zapomenuté tragédie*.

Jiří Orten

Opowiadanie o szukaniu brata

Przełożyła Dorota Dobrew

1

Na początku, bardzo daleko, na samym początku, był mały ogródek. Nie było w nim ani drzew, ani kwiatów, ani trawy, wczesną jesienią w ciepłych załomach ziemi nie leżały przedwcześnie dojrzałe owoce. Nie, to był zupełnie inny ogródek niż te, które bywają pod niebem tego świata. Na dole, tam, gdzie stąpają stopy, miał drewnianą podłogę. Miał też ogrodzenie – niewysokie, żeby można było rozglądać się wokół, i niepozorne drzwiczki. W ogródku było pełno zwierząt: niedźwiedź – żółty jak słońce i bardzo łagodny, koń o imieniu Bezludzie, żyrafa – cała w plamach i z ciekawską szyją, i dużo innych stworzeń o rozmaitych imionach i cechach, które widzę jak przez mgłę.

Pamiętam, że panem ogródka było dziecko, które ledwie nauczyło się chodzić. Potykało się, chwiało, upadało – i znowu wstawało. Ciche, szczęśliwe dziecko.

Często przez ściankę ogródka przechylali się duzi ludzie, nazywali się mama, tata i brat. Brat oznaczał niebezpieczeństwo. Dziecko nigdy nie wiedziało, czy brat nie uderzy niedźwiedzia, żyrafie nie wykręci szyi, nie porwie Bezludzia i nie zrobi tysiąca jeszcze gorszych rzeczy. Brat był najsilniejszy, żaden płacz nie mógł zapewnić przed nim ochrony. Brat. Dziecko go kochało, ponieważ się go bało. Kochało, chociaż się bało – tak należałoby to ująć.

I trzeba jeszcze dodać, że ogródek był całym światem. Nie było świata poza nim, a to jest wielka rzecz, gdy nie ma świata poza ogrodem. Ogród… Kiedyś wszyscy tam byliśmy. Istniały w nim przestrzenie z jeziorkami, z drzewami i z łąkami. Były też miejsca puste, bagna, mokradła i niebezpieczne drogi, ale i one należały do ogrodu, były jego częścią, tak jak częścią ludzkiego ciała są jego chore członki. Aż pewnego dnia zerwał się wiatr, istna wichura… Jednak nie powinienem uprzedzać wydarzeń opowiadania.

Świat dziecka zaczynał się w małym ogródku pośrodku pokoju. Był jego domem. Inni – mama, tata i brat – byli tylko gośćmi, nawet by się tam nie zmieścili.

Dziecko marzyło o tym, żeby pewnego dnia wziąć brata za rękę i poprowadzić go od zwierzęcia do zwierzęcia, i mówić do niego językiem bohaterskiej czystości – takim, jaki bywa w bajkach. Jego marzenie się nie ziściło, ponieważ brat zniknął. Od jakiegoś czasu przestał się pojawiać, przestał wprowadzać zamęt w jego spokojnych zabawach. Ten kochany zakłócacz spokoju był gdzie indziej, zniknął ze świata. Dziecko nie znało jeszcze mowy dorosłych, więc nie umiało zapytać, gdzie jest jego brat. Jakiś czas było mu smutno, tak naprawdę – chwilę, ale to długo, to pozostaje już na zawsze.

Gdybym chciał powiedzieć coś bardzo niewesołego, rzekłbym, że pewnego dnia wszyscy byliśmy w jednej chwili. Była piękna i trwała nieskończenie długo i nieskończenie krótko. Ale potem ruszył czas… Tak, czas. Moje opowiadanie nie mówi o czasie. Czas jest zły. Moje opowiadanie mówi o śnie, który umie nie tylko odbierać, lecz także oddawać. Ale co oddawać? Niemal wszystko!

2

Potem dziecko rosło, aż umarło i stało się chłopcem. Chłopiec chodził różnymi drogami, ogród odszedł tam, skąd się nie wraca, zwierzęta zmieniły się w ludzi i przychodziły tylko nocą, kojące i łagodne. Ludzie, chłopcy i ich rodzice, koledzy i bolesne dziewczyny – jakże to wszystko było zawiłe! Nigdzie nie było żadnego brata. Wtedy chłopiec już umiałby o niego zapytać, ale się wstydził. Wstyd jest niemy.

Uczył się patrzeć ludziom w oczy. Zauważył, że ich oczy uciekają, że nie są wierne jak oczy żyrafy, niedźwiedzia, Bezludzia i innych zwierzątek z ogrodu. Te oczy nie były braterskie. Były czułe – czasami, na początku wieczorów. Były gorące w samotne noce. Były puste. Puste oczy dziewcząt śmiejących się nad przepaścią pożądania. Były różnobarwne, tajemnicze, złe, życzliwe i czyste, ale nie były wierne!

A chłopiec szukał swojego brata. Czy go znajdzie? Czy naprawdę go znajdzie?

Znalazł dziewczynę. A raczej powinien powiedzieć, że znalazł w sobie miłość. Było to cenne znalezisko. Serce chłopca szlifowało bezlitosnym kamieniem szlifierskim ciała, duszę – kamieniem szlifierskim tęsknoty, kiedy Tereza była daleko. A kamieniem szlifierskim tęsknoty, kiedy Tereza była blisko. Miała na imię Tereza i była skłonna ofiarować chłopcu w pewnej mierze wszystko, co do niej należało. Pewna miara: nie było w niej samotności. Co więcej? Co mniej? I co to znaczy „nie było w niej samotności”?

Wiecie, czym w bezwietrzną pogodę jest wiatr w skrzydłach wiatraka? Nie wiecie? To tęsknota za wiatrem.

Podobieństwo, które właśnie opisałem, prowadzi mnie gdzie indziej – do krainy bez dziewcząt. Do krainy, w której samotność jest dana. Ale nie umiem opisać jej piękna. Chciałbym, żebyście na końcu opowiadania poczuli, że jej chociaż

dotknąłem, że do niej zapukałem, jak w dębowe drzwi puka się kostką ułomnego palca.

Tak więc chłopiec znalazł swoją miłość w Terezie. Ale znalazł też coś innego – znalazł kolegów. Włóczył się z nimi po wielu wspólnych drogach. Także w sercach i w głowach mieli wiele wspólnego. W coś wspólnego wierzyli – zwłaszcza na początku przyjaźni. O coś wspólnego walczyli lub – lepiej – o coś wspólnego się spierali. Byli czyści i smutni. Ale nie byli braćmi.

Chłopiec wciąż na nowo musiał się o tym dowiadywać, wciąż na nowo musiał potykać się o siebie i o nich w tym ostatnim, najbardziej nieosiągalnym punkcie. Nie byli braćmi. Kim zatem byli? Byli ludźmi. Ludźmi o oczach mniej uciekających niż u innych ludzi, ale uciekających. Ludźmi, którzy snuli różne marzenia.

I jeszcze coś znalazł chłopiec – znalazł swoją matkę, którą miał od dawna, a której już nie widywał, bo patrzył w innym kierunku. Znalazł swoją matkę. I był bardzo szczęśliwy, że ją znalazł. Była tą, do której można zawsze wracać. Tą, która zawsze przyjmuje z szeroko otwartymi ramionami. Ale matka była „pogrążona w głębokiej samotności". Chłopiec jeszcze nie umiał zejść tak głęboko. Nie wiedział dlaczego, myślę jednak, że dlatego, że wtedy jeszcze nie znalazł brata. A może także z innego powodu.

Matka... To było piękne wiedzieć, że jest, że żyje, że czeka. Ale piękniej byłoby ją objąć. Ale tego jeszcze nie umiał.

3

Stało się i nadeszło lato. Tego lata chłopiec był sam, z dala od wszystkich swoich bliskich. Pewnego wieczora skończył czytać książkę z pradawnych czasów, która była opowieścią o mieście pełnym uciech. Potem się położył, wypił szklankę wody, zgasił światło, zamknął oczy, chwilę marzył o Terezie, o przyjaciołach i o dalekiej radości, i usnął. Usnął, żeby mógł mu się przyśnić sen. Ten sen to był jego los. A ja, który zamierzam go opowiedzieć, boję się słów. I przywołuję słowa, żeby mnie nie opuściły, żeby wytrwały ze mną aż do ostatniej litery. Dlaczego? Ponieważ muszę!

Po męczącej podróży na spotkanie z Terezą dotarł na dalekie letnisko. Czekała na niego na stacyjce, ale jakaś obca, jakby wciąż była daleko. Zatrzymali się w uzdrowiskowym hotelu, w małym, skromnie urządzonym pokoju.

Po południu poszli na spacer. Na skraju lasu Tereza przytula go w krótkim uścisku, ale zaraz się odsuwa i mówi, że czegoś zapomniała z hotelu i żeby na nią zaczekał.

Czeka długą chwilę. Potem opadają go wątpliwości, zaczyna coś podejrzewać, więc biegnie do hotelu. Na schodach ktoś tarasuje mu przejście. Odpycha go i bez tchu wpada do pokoju.

Pokój jest sztucznie oświetlony. Na stole – butelka wina. Wokół stołu – kilku oficjeli. Z przodu Tereza, ma rozpuszczone włosy i pijane ruchy. Jeden z tamtych wstaje i wypycha go do jakiegoś przedpokoju, o którym wcześniej nie wiedział. Nie jest w nim sam – przedpokój jest pełen przyjaciół i znajomych. Wciąż przychodzą nowi, znoszą jakieś sienniki i poduszki. Niektórzy układają się do snu, inni już śpią, pozostali, zbici w grupki, szepczą o czymś ze sobą, ale tak, żeby nie mógł usłyszeć. Ma wrażenie, że nikt go nie poznaje.

Podejmuje nową próbę wślizgnięcia się do pokoju – tam, gdzie Tereza jest z oficjelami. Ale drzwi są strzeżone, udaje mu się tylko nieco je uchylić. Przez szczelinę wykrzykuje obelgi w stronę Terezy. Krzyczy, że się sprzedała. Krzyczy grubiańsko, w końcu sam już nie wie, co krzyczy.

Znowu stoi w przepełnionym przedpokoju. Płacze, łzy płyną mu po twarzy. A kiedy ci, którzy jeszcze czuwają, przyglądają mu się z pogardliwymi uśmiechami, wznosi ręce i mówi, zanosząc się płaczem: „Czy ty, Boże, też musisz płakać?! Jakże to okrutne, że też musisz płakać!". Powtarza te zdania. Najpierw jest przekonany o ich niedorzeczności, w końcu celowo je wypowiada, żeby skruszyć obojętność obecnych, którzy już zdążyli usnąć.

Potem już nie może mówić. Cofa się w głąb, odwraca twarzą do ściany i trwa tak bardzo długo, niczym martwy.

Kiedy powrócił do życia, przedpokój był jasno oświetlony, wszędzie leżały kwiaty, twarze obecnych były wesołe. Ale wszyscy milczeli, nasłuchiwali odgłosów z pokoju. Jego twarz, której bladości był świadom, dziwnie się spośród nich wyróżniała.

Nagle stał na środku przedpokoju. W tej samej chwili usłyszał Terezę, w jej głosie pobrzmiewał ton zwycięstwa. „Mój miły, mój drogi! – wołała. – Mój miły, mój drogi!". W tych, którzy wciąż tam z nim byli (wciąż za zamkniętymi drzwiami), to wołanie wywołało wielką radość, krzyczeli z entuzjazmem. Ale on nie rozumiał tej radości.

Już nie sprawiali wrażenia, że go nie znają, przeciwnie – próbowali wciągnąć go między siebie i porwać do tańca, puszczali do niego oko, chwytali go za ręce i potrząsali nimi, jakby mu czegoś gratulowali. Nie odważył się odezwać, chociaż bardzo chciał zapytać: „Po co to? Na co to wszystko? Skąd ta wielka radość?". W tej chwili nie pragnął radości. Wolałby zostać sam. Sam ze zdradą Terezy. Sam z rozpaczą w trzewiach. Sam na górze, bez kaznodziei. Sam z tysiącami aniołów strąconych w przepaść, których smutek nagle stał mu się najbliższy, był braterskim smutkiem. Po co takie światło? Czy po to, żeby oświetlało jego bezgraniczną hańbę?

Potem go dźwignęli i ze śpiewem zaczęli na ramionach nosić wokół przedpokoju. Łzy znowu napłynęły mu do oczu, spadały na włosy niosących go dziewcząt, leciały, leciały jak grochy.

Długo tak chodzili z nim w kółko, aż zatrzymali się przy drzwiach. Ktoś otworzył je na oścież, postawili go na ziemi. A potem mógł patrzeć: krzesła zwalone na ziemię, przewrócone kieliszki, z których wino jeszcze się sączyło na poplamiony obrus i na dywany. Wokół stołu było jasno, ale w głębi skupiła się ciemność, dużo ciemności. Co mogło się w niej kryć?

Usłyszał dudnienie kroków na schodach. Ktoś schodził, opuszczał dom. „Już po nich, są w rozsypce!" – wołali jego przyjaciele. Domyślił się, że chodzi o oficjeli, nie o poprzewracane krzesła, ale wciąż nie dostrzegał związku, nie rozumiał, dlaczego, jak i kto ich rozgromił.

Próbował przecisnąć się do tyłu, już miał dosyć widoku pustego pokoju, ale go nie przepuścili. Przeciwnie – wypychali go do przodu. W końcu znalazł się o dwa kroki przez wszystkimi, którzy cofali się jakby szacunkiem.

Z ciemności poza kręgiem światła wyłoniła się Tereza. Była pijana, chwiała się na nogach. Pomyślał, że tak wygląda tylko po kochaniu, i poczuł ukłucie w sercu.

Wyciągnęła do niego ręce. Mówiła dość cicho, ale znowu zwycięsko: „Mój miły, mój drogi! Mój miły, mój drogi!". Milczał, nie objął jej (nie była przecież czysta!) ani nie ujął jej za ręce. Ale wolno, bardzo wolno, zrozumiał: w ciemności, z której przyszła Tereza, był jeszcze ktoś. I o to chodziło. Nieważne, co zrobiła, teraz już było to obojętne. Wszyscy przyjaciele byli obojętni, on był obojętny. Wszystko działo się z powodu kogoś, kto wciąż pozostawał w ciemności.

„Mój miły, mój drogi! Mój miły, mój drogi!" – powtarzała Tereza, ale on jej nie słuchał. Wpatrywał się bacznie w jedno miejsce w ciemności. Tam jakby coś się poruszało. To była istota jego męki, całego jego szukania, wszystkich snów, zamętu.

Nie odważył się wejść w ciemność. Nikt się nie odważył. Chyba było to zabronione. Wszystko zależało od woli tego, który przebywał w tej ciemności. To on przed chwilą przysłał Terezę. To on „pokonał" oficjeli. On otworzył drzwi, on kazał mu płakać, on kazał radować się jego przyjaciołom. On kazał Terezie go zdradzić – zdradzić tak, żeby zdrada zabiła i jej, i jego miłość. Ale kto był? Nie był to Bóg! Był to człowiek! Wszystko się zatrzymało, wszystko zamarło, wszystko czekało.

I oto ciemność się rozstąpiła. Ktoś zaczął się z niej wyłaniać. Kroczył ku niemu, szedł, żeby go objąć. I objął go, przyciskał do siebie coraz mocniej. A on wciąż jeszcze nie wiedział, kto to taki, tylko doświadczał radości. Teraz ją czuł, była ona i było objęcie, braterskie objęcie.

Dopiero potem, kiedy już był bliski omdlenia, z tyłu jakiś głos dotarł do jego ucha i powiedział wyraźnie: „Twój brat!".

Chłopiec się obudził. Nie był już chłopcem.

4

„Sen jest naszym bratem" – napisał najbardziej samotny poeta naszego wieku. To chciałem powiedzieć na końcu mojego opowiadania. I jeszcze chciałem powiedzieć: żyjemy po to, żeby odnaleźć utraconego brata. Być może są ludzie, którzy mają inne zdanie. Żal mi ich.

Źródło: *Povídka o hledání bratra*, „Sešity po mladou literaturu" 1967, rocznik 2, nr 9 (marzec 1967), s. 3–5, też: Jiří Orten, *Spisy VI. Prózy II*, Mladá fronta, Praha 1999, s. 217–221.

JIŘÍ ORTEN (1919–1941), czeski poeta pochodzenia żydowskiego. Urodził się jako Jiří Ohrenstein w rodzinie zasymilowanych czeskich Żydów. Był drugim z trzech synów Eduarda i Berty Ohrensteinów, drobnych przedsiębiorców. Dorastał w Kutnej Horze. Od wczesnych lat zdradzał zainteresowanie literaturą i teatrem. Ze sztuką zamierzał związać swoją karierę zawodową. Na przeszkodzie stanęła mu jednak wielka polityka. W 1939 roku Czechy znalazły się pod okupacją hitlerowskich Niemiec. W roku 1940 młody poeta był zmuszony odejść z konserwatorium. Poświęcił się wtedy wyłącznie literaturze, pracując dorywczo w różnych zawodach. Publikował pod pseudonimami. Debiutancki tomik *Čítanka jaro* (Czytanka wiosna) i zbiorek *Cesta k mrazu* (Droga w mróz) wydał pod nazwiskiem Karel Jílek, a poemat *Jeremiášův pláč* (Tren Jeremiasza) i zbiór *Ohnice* (Łopuchy) pod nazwiskiem Jiří Jakub. Trudna sytuacja coraz bardziej osaczonego poety odbiła się na jego twórczości. Na mocy zarządzeń okupanta nie wolno mu było opuszczać Pragi. Dużym ciosem było dla niego rozstanie z ukochaną Věrą, która opuściła poetę w obliczu zbliżającego się Holocaustu. Literackim świadectwem życia w okupowanym mieście są jego dzienniki. Zmarł 1 września 1941 roku.

JAN ZÁBRANA

Przełożyła Dorota Dobrew

Zamarłe czarne ikony

1

Wiatr gnał
pomięty papier pakowy –
papier unosił się, obracał, spadał
jak kotłujące się psy.

Nadeszła stara kobieta.
– Chodź no tu, papierku! –
krzyknęła na całą ulicę.
– Akurat ciebie mi trzeba.

Ponieważ nie wiem,
gdzie kończy się wszechświat,
mam prawo powiedzieć: było to w nim.

A do tego niebo
chylące się
wczesną jesienią,
o piątej po południu,
prosto w dół, na ulicę.

2

Na pustej parceli
z nędzną trawą,
gdzie walają się cegły,
rdzawy ceglany gruz,
druty, rozbite garnki

oraz kawałki wnyków na lisy i kuny,

senna trzydziestoletnia kobieta
w brudnym, poprutym swetrze
i męskich spodniach po kimś

głaskała łagodnego czarnego psa,
czarnego owczarka niemieckiego.
Z przejęciem głaskała łagodnego czarnego psa
w to przedpołudnie wstrząsane wiatrem

i nie robiła nic,
żeby zdobyć nowe ubranie,
buty albo pieniące się mydło…

Ta kobieta była tak zmęczona
jak ja
wtedy,
w to przedpołudnie wstrząsane wiatrem.

3

Stara kobieta w szpitalu
pod wieczór zasypia.

Kiedy się budzi,
myśli, że wciąż śni:

chore
podniosły się z łóżek
i chodzą po sali.

(Żarówki są słabe
a jesień na dworze
niemal cieszy).

Kobiety rozwijają
w sali ogromną płachtę,
bez mała ratunkową.

(Na wypadek gdyby
z nieba zechciał zeskoczyć
bezskrzydły anioł uzdrowiciel).

A później
jedna z nich mówi
do obudzonej starej kobiety:

„Mąż znalazł w lesie
porzucony spadochron.
Nada się w sam raz
na płaszcze od deszczu".

(† cioci Toničce)

5

Zaspany mężczyzna,
który z trudem dogonił pociąg
i jeszcze nie może złapać tchu,
wciśnięty pomiędzy bagaże,
teraz,

kiedy młodziutka, rześka konduktorka
wypisuje mu bilet
i starannie odlicza resztę,

pyta:
„Wielu ludzi już panią nabrało?".

Odpowiedziała porannym,
na dobre rozbudzonym głosem:
„Żeby pan wiedział".

A on
w tej chwili nie wie:
podniosła czy
też może
opuściła szlaban
na drodze
– coraz gładszej i gładszej –
prowadzącej do łóżka.

17

Chodzi koło wystaw sklepowych,
widzi w nich siebie,
a przede wszystkim:
sama też jest na wystawie.

Ale towar niszczeje
w wietrze lat,
więc trzeba sprzedawać, sprzedawać,
sprzedać czym prędzej.

Na ulicy chwyta
spojrzenie każdego mężczyzny,
wsuwa je pod sukienkę,
i grzeje się nim,
kiedy jest sama.

Cicho prześlizguje się
przez życie
na tej jednej narcie.

19

Słyszałem, że koło szkoły śpiewały dzieci.

Potem nie spałem całą noc,
sam w pustym mieszkaniu.

Już znałem te cuda,
które one miały
dopiero poznać.

Znałem je
i nie byłem ani trochę lepszy.
Znałem. I byłem bardziej zapomniany
niż kikut po kapuście ściętej w ogrodzie.

21

Dzieci nic nie wiedzą,
mają zadrapania na nosie,
w tramwaju robią sobie
oparcie z twojego kolana.

Nie wiedzą,
jak szybko się pną,
jak łatwo uczą się mowy.
Biegną pod górkę
bez zadyszki.

Jest ich jak piasku,
jak trawy, jak jabłek.

Rosną i wszystko zaczyna do nich należeć.
Przybywa ich
i wdeptują nas w ziemię.

22

Teraz wrzeszczy na dole
na ulicy,
trzeci rok
z jej ciała,

bity za zniszczone buciki,
za krosty na zaślinionej buzi,
za wstyd przed tą plotkarą z papierni.

Kochanek jak szczurołap
odchodzi po niebie.
A rozczarowanie
przestaje boleć kobietę.

27

Znacie to.
W sklepie nie ma nikogo i wtedy
chłopiec pewnie wchodzi do środka,

jeszcze się waha
(sprzedawca się zbliża),
bo może jednak lepiej poprosić
o pastę do zębów…

Znacie to.
To zostaje na całe życie.

28

Sęk w tym, że dowiedział się z książek
– palce zakładki –
kiedy powinno zacząć go ubywać.

I stwierdził, że jeszcze do tego
daleko. A mimo to…
już wtedy niespokojna myśl
sypnęła popiołem w ogień.

Potem nabrał zwyczaju
puszyć się w męskim towarzystwie,
potem nabrał zwyczaju
wybierać tylko dziewice,
tylko dziewice,
które nie mogą porównać.

Tak pana poznałem, maestro,
a był to pierwszy rok
mojej dorosłości…
Zostawiam włączone radio,
niech gra, i wychodzę
do drugiego pokoju…

38

Wsiadał do tramwaju
z obawą,
że zobaczy tam
piękną, młodą kobietę.
A stało się coś o wiele gorszego.
Zobaczył pięknego, młodego mężczyznę.

Coś gorszego, powiadam,
ponieważ nie być
jest gorsze niż nie mieć.

44

Stawia doniczkę
na oknie, w ostrym słońcu.

Raz wyszła za mąż
i ani razu
nie zdobyła się na kochanka.

Tyle wiosen! „Sezamie, otwórz się!".
Tyle zim! (Zdaje się, że Sezam ma mnie gdzieś).

Więc skorzystały na tym
azalie, psy i sztuki piękne.
A życie ślizga się pod palcami
– stalowa lina,
która gdy się zaciśnie, oparzy.

53

Narzuciły coś na siebie,
wyprostowały szwy na pończochach
poprawiły czerwień,
wbiły igłę
w krążek płyty.

Godzinami obskakiwał je potem
głos-pies,
ocierał się
o ich kolana.

Dalecy mężczyźni
spawali błotniki,
czytali powieści,
rozdawali karty
i nie zadali sobie trudu, żeby przyjść.

Otuliny kwiatów spały.
A w nich – miłość
jak niezłomna róża.

57

Zabili pisklę, włożyli do garnka.
Z małego mięsa
leciała para.
Chciwie szarpali
włókna przyrosłe do kości.

To gorące śniadanie
stawiałaś im wtedy na stole,
dojrzała i sama.
- - - - - -

Jeszcze dzisiaj, kiedy myślę
o tobie z nimi,
jakbym przesiewał piasek
do smutnej, płynącej wody…
(Josefowi Jedličce, 17.10.1955)

59

Nie będę szukać ładniejszej od ciebie,
biegać od jednej do drugiej,

bo kochać kobietę
to przeznaczenie, tak samo
jak kolor włosów,
choroba
albo czasy, w których żyjemy.

63

Ciągle gdzieś się znajdują
pieniądze zakopane w ziemi.

Pod progiem, w lesie, na zamku.

Zakopali je
i już do nich nie wrócili.

Zmądrzeli?
.....
Pomarli.

Wczoraj widziałem w muzeum
takie właśnie pieniądze.
Nie skarb – takie właśnie pieniądze.

Weksle z czasów,
kiedy jeszcze nie było weksli.
Wszystkie oprotestowane przez śmierć.

Strony z dziennika

Pożyczona książka
„Chagall i koty? Co ty pleciesz,
u niego znajdziesz wieś pod śniegiem,
konia, co płynie ponad lasem,
albo szamesów gdzieś w Odessie…".

Skrzydlata głowa nadleciała,
aby drugą głowę pocałować
na znak, że właśnie ją wybrała
i sama jest jej przeznaczona…

„…tętent miłości, a ty pod nim
jak trakt, po którym pędzą konie…
Dzisiaj wbrew sobie ze mną jesteś…

Noc jeszcze trwa, ty leżysz naga,
plecami do mnie odwrócona
– kobieta z Aktu nad Witebskiem…".

(Věrze Linhartovej, 1968)

Zapłacone z góry

Śmierć przyjdzie, zanim nastanie koniec.
Zanim wybrzmi głos, publiczność wstanie.
Ma abonament. Niczym skąpiec
sprawdza, co za swój grosz dostanie.

Nie będzie czekać, przyjdzie wcześniej,
zanim pogasną światła rampy,
po tego, kto ją posłał w diabły
i kto ją kochał w tajemnicy,
chociaż na całe gardło krzyczał,
że właśnie żyje pełnią życia.

Śmierć siada zawsze w pierwszym rzędzie.
Ma za nic laury, odznaczenia.
Do naszych słów rymy znajdzie
w scenicznych objaśnieniach.

(18 marca 1977)

JAN ZÁBRANA (1931–1984), czeski pisarz i tłumacz. Jego rodzice byli nauczycielami i politykami prześladowanymi przez reżim komunistyczny po rewolucji komunistycznej w 1948 roku. W latach 1952–1953 pracował w fabryce tramwajów w Tatrachowie w Pradze, a rok później w fabryce emalii w Radotanie. Pisał wiersze i opowiadania (opublikowane po upadku reżimu komunistycznego w 1989 roku w książce *Sedm povądekku*). Od 1954 roku pracował jako tłumacz i stał się jednym z najlepszych czeskich tłumaczy XX wieku. Jego zainteresowanie koncentrowało się głównie na literaturze rosyjskiej i amerykańskiej, przekładał takich twórców jak Ivan Bunin, Marina Cwietajewa, Mandelstam, Pasternak, Babel i Płatonow oraz Allen Ginsberg, Graham Greene, Sylvia Plath, Wallace Stevens, Ferlinghetti, Ezra Pound i Greg Corory. Pisał wiersze, wydał trzy tomiki poetyckie, napisał trzy opowiadania detektywistyczne i jedną powieść dla dzieci.

Josef Jedlička

Poranna pieśń kochanków

Przełożyła Dorota Dobrew

Pewnego dnia dozorczyni wręczyła konduktorowi Fuchsowi urzędowy list i bacznie dopilnowała, żeby czytelnie podpisał potwierdzenie odbioru. List oznajmiał, że do mieszkania konduktora Fuchsa zostanie doprowadzona linia telefoniczna.

W owym czasie konduktor Fuchs nie zważał na problemy, jakie mogłyby z tego wyniknąć, tylko zaznajomił się z pewną młodą dziewczyną. Pracowała w gospodarstwie ogrodniczym, a ponieważ mieszkała we wsi dość od niego oddalonej, musiała codziennie dojeżdżać do pracy. Zdarzało się, że uciekł jej ostatni autobus. Zamiast wrócić do domu, nocowała w mieście u jakiejś koleżanki, więc nikogo to nie dziwiło i nie budziło podejrzeń. Tak więc wieczory i noce spędzała u konduktora Fuchsa. Co prawda miała różne panieńskie obawy, ale cóż, kochała go. Wczesnym latem przynosiła mu koszyki czereśni.

Tego dnia konduktor obudził się o świcie. Dziewczyna wciąż spała, jej dłoń spoczywała na piersi. Nagle usłyszał hałas otwieranego okna. Do pokoju wszedł człowiek w roboczym drelichu. Konduktor uznał, że musiał opuścić się z dachu, bo nigdzie nie dostrzegł drabiny. Człowiek ciągnął za sobą kłąb drutu i z łoskotem upuścił go pod oknem. Ten hałas obudził dziewczynę.

– Dzień dobry – powiedział przybyły.

– Dzień dobry – odrzekł konduktor i tak usiadł na łóżku, żeby swoim ciałem zasłonić towarzyszkę.

W oknie pojawiła się druga postać, z wielką skórzaną torbą zawieszoną na ramieniu. Mężczyzna pogwizdywał, najwidoczniej w ten sposób okazywał entuzjazm człowieka, który porządnie wypoczął i jest gotów do pracy.

– Montujemy przewody – oznajmił i zaczął rozwijać kabel. Ciągnął go przez cały pokój w kierunku drzwi. – Przyszło zawiadomienie.

– A może nie przyszło…? – rzucił od niechcenia ten pierwszy.

Speszony konduktor Fuchs strącił z kołdry czereśnię, która poprzedniego wieczora posłużyła dziewczynie jako skromna ozdoba w dziecięcym stylu.

– A, tak, coś przyszło – powiedział.

– No i dobra – powiedział człowiek w oknie i rzucił torbę na podłogę. – Lojzík, dawaj przez świetlik w spiżarce!

– Panowie, bardzo proszę…! – zaprotestował konduktor, zaniepokojony regularnym brzękotem przewodu obijającego się o butelkę, która od wczoraj stała na stole.

Dziewczyna zaczęła cicho płakać pod kołdrą.

– Widzę przecież! – rzucił człowiek z torbą. – Pan weźmie tę butelkę, bo zawadza.

– Już, już! – powiedział konduktor, uradowany, że może wykazać dobrą wolę oraz gotowość do współpracy. – Można ją przestawić gdziekolwiek. Na przykład pod stół.

– To nie jest nasza sprawa – usłyszał w odpowiedzi. – Nie odpowiadamy za szkody powstałe w trakcie montażu.

Konduktor Fuchs był gotów choćby po to usunąć zawadzającą butelkę, żeby zatrzeć ślady po kolacji – jak by na to nie patrzeć, dość wystawnej, co pozostawało poniekąd w sprzeczności z jego finansowymi możliwościami. Z drugiej strony nie chciał dziewczęcia pozbawić osłony ciała, a poza tym po prostu się wstydził, bo był całkiem goły. Polował na chwilę, w której obaj mężczyźni będą zwróceni tyłem do niego. Wtedy mógłby szybko wstać, zabrać butelkę i natychmiast wrócić do łóżka. Zanim jednak udało mu się zrealizować ten plan, flaszka spadła i się rozbiła.

Monterzy pracowali wolno, lecz metodycznie.

– No i widzi pan, jak nam pan utrudnia pracę? – odezwał się jeden z nich.

Konduktor, ku swemu przerażeniu, rozpoznał w nim szwagra dozorcy z domu naprzeciwko.

– Bardzo przepraszam…

– A my tylko chcemy zarobić na siebie i na nasze rodziny.

– Tak, przepraszam – powtórzył konduktor.

Cóż było robić, wstał i ostrożnie stąpając na bosaka, zaczął zbierać odłamki szkła.

Dziewczyna zaniosła się gromkim szlochem.

– Pani taka bardziej delikatna, co nie? – orzekł szwagier dozorcy w nagłym przypływie ludzkich uczuć. – Szerokość trasy: osiemdziesiąt pięć, Lojzík, wyłącz!

Dziewczyna zaniosła się jeszcze głośniejszym szlochem. Konduktor Fuchs nie mógł jej wyjaśnić w tej chwili, jaką funkcję pełni ów człowiek na ich ulicy i w domu naprzeciwko. Ten zaś, zawiedziony tak jawną niewdzięcznością i odrzuceniem jego życzliwości, dodał niejednoznacznie:

– To nie są czasy na sentymenty!

Konduktor Fuchs się przestraszył, że ten dysonans (na pozór niezbyt znaczący, a jednak), mógłby niepotrzebnie wzmóc jego czujność. Co tu dużo gadać, dziewczyna nie była u niego zameldowana. Dopuścił się tego zaniedbania bynajmniej nie z powodu sprzeciwu wobec rozporządzeń związanych z bezpieczeństwem

publicznym, ale ze wstydu, który młodemu mężczyźnie stanu wolnego nie pozwala raportować o nocnej wizycie kobiety w swoim mieszkaniu. Był też pewien, że szwagier dozorcy nie będzie się ceregielił z subtelnymi uczuciami i takiej niesubordynacji nie puści płazem.

Opadł na łóżko i pochylił się nad dziewczyną.

– Kotku, słyszałaś przecież, że trasa jest wąziutka – powiedział szeptem dość głośnym, żeby tamci usłyszeli. – Śpij sobie, jest jeszcze noc.

Ale nie udało mu się jej uspokoić, nie przestała płakać. Przyszło mu do głowy, że chyba go nie zrozumiała, a może nie dosłyszała w hałasie wywołanym przez wiertarkę elektryczną, więc wrzasnął na całe gardło:

– Ciebie to nie dotyczy! Ciebie to nie dotyczy, kotku!

Wiedział, że nie należy igrać z cierpliwością szwagra dozorcy, więc żeby uspokoić dziewczynę, zaczął przymilnie całować jej włosy i wielkie słone oczy. Łkanie nieco ucichło.

– No widzisz, widzisz… – powtarzał kojąco. – Widzisz, to nic, nic…

Muskał ją leciutko w miejscach odkrytych tej nocy.

Za oknem się rozjaśniło, a z podwórkowych ogródków zaczęły się odzywać ptaki.

– I proszę bardzo! – oświadczył zachęcająco jeden z monterów. – Wystarczy trochę dobrej woli i zrozumienia!

– My pracujemy dla dobra wszystkich – dodał drugi, szwagier dozorcy z domu naprzeciwko.

Obaj zaczęli głośno śpiewać do wtóru uderzeń młotów, którymi rozbijali ścianę.

W owej chwili konduktor był gotów z ulgą uwierzyć, że naprawdę nic się nie stało. Mile połechtany uznaniem, przeszedł do pieszczot bardziej delikatnych, aby ukoić ostatnie szlochy dziewczyny. Te zaś zamierały jej w krtani i teraz przypominały gruchanie turkawki. Dziewczę błogo mrużyło oczy, a jej oddech spłycił się i przyspieszył.

Szwagier dozorcy podniósł z podłogi czereśnię strząśniętą z kołdry przez konduktora, włożył ją do ust, pestkę wypluł i nie przekraczając osiemdziesięciu pięciu centymetrów wytyczonej trasy, łobuzersko strzelił nią w kochanków. Na skroni dziewczyny pojawiła się czerwona plamka.

Konduktor Fuchs w nagłym poczuciu szczęścia wynikającego z desperackiej pewności zwycięsko odrzucił kołdrę ze śniadego ciała dziewczyny, przywarł do niej i żarliwie, szaleńczo jął się z nią kochać. Okrzykom, które wyrywały się z jej ust, wtórował śpiew mężczyzn w drelichach, w kolorze godnym szacunku pracy, a słowa ich pieśni ginęły pośród uderzeń wielkich młotów.

Litvínov 1955

Pościg

– Ścigają nas – powiedziała.

– Ścigają – odpowiedział.

– Może ten pościg w ogóle nie ma znaczenia – dodała.

– A może tym razem jest to pościg, który właśnie ma znaczenie? – odrzekł. – Kochasz mnie?

Stanęli twarzą w twarz, objęli się i pocałowali. Ludzie ich potrącali. Nagie dziecko, które u ich stóp siedziało na skraju chodnika, zaczęło kredą zakreślać kontur ich cienia.

– Zmiana kierunku! – oznajmił przez megafon funkcjonariusz służby ruchu. – Proszę przechodzić na zielonym świetle. Ten pan i ta pani, którzy się całują, proszę się przemieścić!

Posłuchali, pościg trwał.

– Zostawiamy ślady – powiedział. – Dziecko nas zdradzi.

– Dziecko nic nie rozumie – zaprotestowała. – Pomyślą, że rysuje różę.

– Nie – rzucił. – Wygląda na to, że wiedzą zbyt wiele. Wzbudziliśmy ich podejrzenia.

Przyklęknęła na lewe kolano, żeby poprawić coś przy bucie.

– Zobacz, pierścień! – powiedziała ze śmiechem. – A ja ciągle się zastanawiałam, co mnie tak w tym bucie uwiera…!

– Wyrzuć to – powiedział z nagłym strachem, rozglądając się wokół. – To na pewno pułapka.

Jego lęk się wzmógł, ponieważ człowieka w lisiej czapie nigdzie nie było widać. A śledził ich już chyba z godzinę, od czasu, kiedy się spotkali.

Wyszedł z pracy i ruszył z północy na południe, ona zaś po wyjściu od krawcowej szła z wiatrem w kierunku wytyczanym przez łodzie, które przywożą szafran i czereśnie. Myślał o niej w tej samej chwili, kiedy ona przypadkiem pomyślała o nim. Pisana im była wielka miłość, więc w miejscu, w którym przecięły się ich kroki, z trzaskiem pękła latarnia uliczna. Spojrzeli w górę i dostrzegli motyla, który był w niej uwięziony. Wzięli się za ręce i ruszyli.

– Wyrządziliście szkodę – odezwał się w tej chwili człowiek w lisiej czapie. – Nie wolno tak po prostu odejść.

– Ja niczego nawet nie dotknąłem – powiedział mężczyzna. – Latarnia pękła sama.

– A ten motyl? Myślicie, że jestem ślepy?

Mężczyzna zrozumiał, że nie należy się sprzeciwiać. Sięgnął za pazuchę.

– Nie, jeszcze mnie nie dotykaj – powiedziała. – Jeszcze mnie nie pocałowałeś.

Gdy wyciągał legitymację, spostrzegł z przestrachem, że jego dłoń jest pokaleczona przez ciernie, a krew splamiła legitymację. „Dzięki Bogu, że jest czerwona" – pomyślał. Ale człowiek w lisiej czapie nie dał się omamić.

– Obchodzi się pan z legitymacją bez należytej dbałości – powiedział i zapisał w notatniku jej numer. – Dostanie pan wezwanie.

– Wyrzuć ten pierścień – powtórzył. – To na pewno pułapka.

– Nie. Weźmiemy ślub – odpowiedziała, podnosząc się z klęku. – To szczęście. – Wsunęła mu go na serdeczny palec lewej ręki i dodała: – Chodź!

Ruszyła z miejsca.

Ludzie zaczęli oddzielać ich od siebie.

– Kochasz mnie?! – krzyknął za nią.

– Kocham – odpowiedziała szeptem, aż wszyscy się za nią obejrzeli.

– Kupię ci różę – powiedział. Przystanął przed uliczną kwiaciarką. – Chcesz?

– Jeżeli ty chcesz – powiedziała. – Ale ręka wciąż ci krwawi, kochany.

– To nic – odrzekł.

– Jest pan aresztowany – oznajmił człowiek w lisiej czapie, który skrywał się w bramie za kwiaciarką. – Czekaliśmy tylko na ten dowód. Oboje jesteście aresztowani. Proszę ze mną!

– Nie mogę nic sobie zarzucić – powiedział szybko.

– Tak…? – rzucił tamten drwiąco. – To wszystko jeszcze za mało…? Nic pan sobie nie może zarzucić…? Tym gorzej!

Prowadził ich bez litości. Jego po swojej lewej stronie, ją – po prawej, bo odebrał w miarę porządne wychowanie.

– Przekręć pierścień – szepnęła.

Posłuchał bez wahania.

– Miałaś rację – powiedział. – Ten pościg w ogóle nie ma znaczenia.

– Kocham cię – szepnęła i niespodziewanie zrzuciła z siebie ubranie.

Ulicą, którą właśnie przejeżdżała polewaczka, przeciskali się przez tłum. Człowiek w lisiej czapie, który nic nie rozumiał, niewidzialny oraz dziewczyna – naga i blada, z kilkoma kroplami wody na jasnym łonie, które połyskiwały jak poranna rosa.

Wróg klasowy

Jak dotąd przepisy o nacjonalizacji nie miały zastosowania do mojego rzemiosła. Jednak ostatnio problemy ze zdobyciem materiałów i narzędzi sprawiły, że razem z żoną musieliśmy jeszcze bardziej ograniczyć nasze skromne wymagania. Jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, żyliśmy może nie w dostatku, ale też nie w nędzy. Niedawno otrzymałem urzędowe pismo, które oznajmiało, że rzemieślnikom wykonującym produkty drewniane zakazuje się w trybie natychmiastowym wytwarzać jakiekolwiek nowe wyroby i że wolno im tylko dokonywać napraw i drobnych przeróbek. Złamanie zakazu będzie surowo karane, zgodnie z przepisami prawa.

Niełatwo zarabiać na życie produkcją trumien, ale jeszcze trudniej utrzymać się z ich napraw. Mam swoje lata, więc nie wyuczę się innego fachu. Ale nawet gdybym spróbował, nie mam prawa samowolnie porzucić mojego rzemiosła, które jest obłożone niemałymi podatkami. Zawsze byłem przeciwnikiem reklamy, przeświadczony, że dobry towar sam się zachwala. Jednak w tej trudnej sytuacji umieściłem w oknie warsztatu, za radą żony, tabliczkę z informacją, że szybko i tanio naprawiam trumny, że te dla dorosłych przerabiam na trumienki dziecięce, a te kawalerskie i panieńskie przemalowuję na czarno – i na odwrót, i to w dwadzieścia cztery godziny. Gdybyśmy mieszkali w Chinach, gdzie pochówki mają charakter bardziej wyrafinowany, z pewnością nie czekałbym długo na klientów. U nas mogłem mieć nikłą nadzieję na to, że znajdzie się ktoś, komu tak bardzo będzie zależeć na wyglądzie trumny, że zakupiony produkt zechce dostosować do swoich gustów. Moje wieloletnie doświadczenie mówi, że rzadko się zdarza, żeby człowiek uznany za zmarłego ożył, a nawet jeżeli tak by się stało, raczej nie zatrzyma kupionej trumny. Odsprzeda ją, choćby ze stratą, zakładowi pogrzebowemu, nieuszkodzoną i nieużywaną, a więc niewymagającą naprawy.

Czekałem kilka dni, ale na próżno. Moje ogłoszenie nie przyniosło skutku. Wreszcie przez funkcjonariusza służb bezpieczeństwa zostałem wezwany do usunięcia tabliczki, bo podobno wywoływała zgorszenie wśród ludzi. Powiedziałem mu o piśmie, które dostałem, ale nic to nie dało. Stwierdził, że zgorszenie nie polega na istocie mojego czynu, lecz raczej na jego realizacji, a motywy decyzji podjętej przez służby mają charakter ideologiczny. Tyle że nie przedstawił żadnego satysfakcjonującego wyjaśnienia. Usunąłem tabliczkę w obawie przed możliwymi, chociaż niezbyt jasnymi konsekwencjami, którymi mi zagrożono.

Następnie zgłosiłem się do kilku zakładów pogrzebowych, w nadziei, że będą mogły zlecić mi naprawę trumien uszkodzonych w czasie transportu. Spotkałem się z odmową, bo zakłady komunalne nie mogą prywaciarzom zlecać prac. Również w magazynie trumien nic nie wskórałem – podobno stare trumny cieszą się dużym popytem, bo są tańsze, a w oczach klienta ich cena równoważy staromodny wygląd. Próbowałem szczęścia jeszcze w kilku miejscach, jednak tak samo – bez rezultatu.

W tym okresie daremnych poszukiwań skończyły nam się z żoną oszczędności. Znalezienie jakiejś pracy zarobkowej stało się koniecznością, z dnia na dzień coraz bardziej dramatyczną.

Wpadłem na szczęśliwy pomysł, który do dziś realizuję, jako że nic lepszego nie udało mi się wymyślić. Jednak moja praca wiąże się z trudnościami niemal nie do pokonania.

Wstaję z samego rana i przeglądam daty i godziny pogrzebów wywieszone w witrynach zakładów pogrzebowych. Interesują mnie tyko ceremonie, które zaczynają się w domu, a tych niestety ostatnio jest coraz mniej.

W dany dzień pojawiam się o określonej godzinie w domu żałobników. Mam na sobie ciemny garnitur, a narzędzia trzymam w czarnej teczce. Zazwyczaj wchodzę bez problemu, bo dom bywa otwarty, a żałobnicy często nawet się nie znają.

Przychodzę o takiej porze, żeby być obecnym podczas zamykania trumny. Na początku naiwnie myślałem, że mógłbym się przy tym przydać, lecz szybko się zorientowałem, że to zajęcie jest zarezerwowane dla pracowników zakładów pogrzebowych.

Wchodzę do pomieszczenia, w którym wokół trumny ustawionej na zaimprowizowanym katafalku są zgromadzeni płaczący żałobnicy. Na nic innego poza zmarłym nie zwracają uwagi. Z uwagą wpatrują się w jego twarz, co jest rzeczą jasną, zrozumiałą zwłaszcza dlatego, że za chwilę owa twarz zostanie na wieki przesłonięta wiekiem trumny.

Kłopotliwość mojego położenia polega na tym, że swoje usługi muszę zaproponować właśnie w momencie tak dla nich ciężkim. Trudno przewidzieć, jak się zachowają, równie dobrze mogą wybuchnąć gniewem czy popaść w desperację – wszystko zależy od stopnia mojej gorliwości, z którą im się zaprezentuję. W żadnym wypadku nie mogę podkreślać osobistej ani społecznej strony mojego przypadku, bo nic nie może się równać z ich stratą. Z tego względu jestem pozbawiony najskuteczniejszego środka perswazji. Moja profesja każe mi się skupić na ewentualnych uszkodzeniach trumny. Muszę umieć przewidzieć trudności w przebiegu pogrzebu, co oczywiście uderza w najświeższą ranę i irytuje rodzinę.

Pertraktacje ułatwiam sobie w ten sposób, że zwracam się do osoby uchodzącej za organizatora pogrzebu, która zawsze jakoś się ujawnia. Jest to zazwyczaj człowiek w pewnym stopniu podzielający żal pozostałych, jednak właśnie z tego powodu formalnie bardziej podkreśla swoje zaangażowanie. A jeżeli odrzuca moją

propozycję, czyni to z godnością i bez scen. Bo przeważnie ją odrzuca. Organizatorzy zazwyczaj bez zastanowienia próbują mnie zbyć jakimś grzecznościowym zwrotem – a to już uważam za sukces. Skoro nie zostałem wyrzucony z pomieszczenia, mam prawo w nim przebywać, więc kontynuuję swoje zadanie. Naprawdę bardzo rzadko, wręcz wyjątkowo, bywa, że moje usługi naprawdę są potrzebne. Zdarza się, że podczas podnoszenia trumny z prowizorycznego katafalku ułamie się któraś noga w kształcie lwiej łapy. Albo podczas mocowania wiązanki odpryśnie spory płat lakieru. Albo podczas opuszczania wieka odpadną przyklejone ozdoby. Dotyczy to zwłaszcza pogrzebów młodych dziewcząt, kiedy emocje zebranych są większe niż zazwyczaj. Wszyscy tłoczą się przy trumnie, dlatego łatwo mogą ją uszkodzić. Poza tym białe trumny są bardziej delikatne. W takiej sytuacji mogę już ogłosić swój triumf. Pracownicy zakładu pogrzebowego nigdy nie są gotowi na takie wydarzenia – stoją zakłopotani przed żałobnikami, którzy czują się niemile dotknięci wypadkiem. Dzięki temu z ulgą oraz z wdzięcznością przyjmują moją natychmiastową pomoc. Zapłata za to wsparcie jest zawsze sowita, a przekazuje mi ją ów organizator, jeszcze zanim kondukt opuści dom. Zdarza się to jednak tak rzadko, że właściwie wcale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek miałem to szczęście.

Zazwyczaj ceremonia przebiega gładko, a ja trzymam się z tyłu. Może się jednak przydarzyć coś takiego: pracownikom zakładu pogrzebowego zepsuje się narzędzie do zamykania trumny albo zabraknie im jakiejś śruby czy drutu. Wtedy wyskakuję i podsuwam im swoje narzędzia, a oni je z radością przyjmują, ale tak, żeby nie wzbudzić zainteresowania zebranych. Żałobnicy przeważnie naprawdę niczego nie zauważają – biorą mnie za kogoś z ekipy, w najlepszym wypadku nagradzają mnie napiwkiem, tak samo jak tamtych. Rzecz jasna częściej pozostaję na łasce pracowników zakładu pogrzebowego, raczej ograniczonej, ponieważ okazanie mi wdzięczności byłoby równoznaczne z przyznaniem się do własnej nieudolności.

Jeżeli ceremonia w domu odbywa się bez przeszkód, razem z konduktem udaję się na cmentarz, w nadziei, że tam moja pomoc może okazać się potrzebna. Co prawda do tej pory jeszcze się to nie zdarzyło, ale błędem byłoby zaprzepaścić taką okazję.

Najczęściej jestem wypraszany z domu po pierwszej próbie zaoferowania swoich usług. Słyszę wtedy, że organizacja pogrzebu została powierzona koncesjonowanemu zakładowi. Czasami dosłownie zostaję wyrzucany przy wtórze drwin pracowników. Nawet jeżeli wolno mi zostać na pogrzebie, najczęściej nie znajduje się dla mnie żadna praca – uchodzę za kogoś z rodziny, głęboko pogrążonego w bólu, ponieważ nigdy nie udaje mi się ukryć irytacji i niepokoju, które towarzyszą mi w czasie ceremonii pogrzebowej.

Czasami uczestniczę w kilku pogrzebach jednego dnia, więc do domu wracam wieczorem śmiertelnie zmęczony.

Żyjemy coraz skromniej. Do tego nie jestem pewien, czy w ogóle mam prawo praktykować to moje obchodne rzemiosło i czy pozwolenie, o którym jest mowa w piśmie, nie dotyczy czasem tylko działalności prowadzonej we własnym warsztacie. W końcu stanowię konkurencję dla komunalnego zakładu pogrzebowego.

Źródła: Svítáníčko, „Sešity pro literaturu a diskusi" 1968, rocznik 3, nr 26 (grudzień 1968), s. 28–29. *Pronásledování; Třídní nepřítel* – zbiór rękopisów Josefa Jedličkі w praskim archiwum Památník národního písemnictví.

JOSEF JEDLIČKA (1927–1990), studiował estetykę i etnografię na Uniwersytecie Praskim, ale za krytykę polityki reżimu komunistycznego został z niego wyrzucony. Podejmował się różnych zajęć – pracował między innymi jako robotnik, nauczyciel, asystent telewizyjny i korepetytor. W 1996 roku ukazała się jego powieść *Kde život náš je v půli se svou poutí* (W połowie drogi naszego życia), która została okrzyknięta wydarzeniem literackim, ale także ideologicznym skandalem, który doprowadził m.in. do zakazu kolejnych wydań. Sam autor mówił wówczas o swojej prozie: „Nie pisałem książki, lecz zbierałem świadectwa o naszych czasach, o Litvínovie lat pięćdziesiątych i o przyszłości, w której kiedyś musi wyrosnąć cała radość świata, bo nie da się stale żyć bez radości i bez nadziei". Napisał także m.in. *Krev není voda* (Krew to nie woda, 1991), eseje *České typy* (1992), *Poznámky ke Kafkovi* (Uwagi o Kafce, 1993), *Rozptýleno v prostoru a čase* (Rozproszone w czasie i przestrzeni, 2000) i *Ornament* (2006).

Milada Součková

Opowiadania z tomu *Škola povídek*

(wydane po raz pierwszy w 1943 roku)

Przełożyła Dorota Dobrew

Opowiadanie indoeuropejskie
O mężczyźnie bez imienia i o bogini o tysiącu imion

Pewnego dnia człowiek (...) obudził się, otworzył oczy i pomyślał: „Dzień jest jakby stworzony do polowania".

Zadowalał się tym, co upolował, i nie myślał o swoim ubóstwie. Chociaż zdarzało mu się podczas łowów widzieć przepych królewskiej świty (las, w którym mieszkał, obfitował w zwierzynę), nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby pragnąć bogactwa.

Stało się pewnego razu, że w lesie znalazł wspaniałe odzienie zaczepione o cierniastą gałąź. Zapewne zgubił je ktoś z królewskiej drużyny. Wisiało tam, jakby drzewo przebiło jeźdźca, aby przeszkodzić mu w ściganiu zdobyczy. „Nawet królewskiemu łowcy nie zawsze szczęści się na polowaniu tak, jak by sobie życzył" – powiedział biedny człowiek bez imienia (żył samotnie, nikt się do niego nie zwracał i nie wypowiadał na głos jego imienia), po czym zaniósł szaty do swojego domostwa; a nuż ktoś je rozpozna, kiedy się tu zatrzyma, żeby zapytać o drogę albo w którą stronę pierzchło spłoszone zwierzę.

Ów człowiek nazywał zwierzynę i ptactwo ich imionami i wiedział, że sam również ma imię, które może musnąć strzała, które może przeszyć oszczep. Ufał swojej bystrości, więc miał nadzieję, że uda mu się przechytrzyć tego, kto chciałby mu zagrozić. Nie życzył sobie słyszeć swojego imienia, nie pragnął tego.

Później tego dnia, o którym zaczęliśmy opowiadać, miał wrażenie, że wokół siebie słyszy głosy. Jakby ktoś go wołał. Powiedział sobie: „Żadne z tych imion nie należy do mnie, niech zatem wszystkie się rozproszą niczym spłoszone stado. Imię nie jest mi potrzebne, żyję samotnie".

Chociaż nie przyjął żadnego z imion, które przelatywały koło jego uszu, czuł, że ktoś nie spuszcza go z oczu – jego, człowieka, który wzdraga się przed przyjęciem imienia, żeby nie stać się celem czyichś zamysłów. Bardzo uważał, żeby nie przeoczyć jakiegoś śladu, szmeru albo świstu strzały.

Od czego zadrżało powietrze? Co to było? Strzała, liść czy ptasie pióro? Dokąd zmierzały i kto je wypuścił?

Drżenie powietrza doprowadziło człowieka do tafli wody. Przeląkł się, kiedy w jej zwierciadle ujrzał sylwetkę pięknej kobiety. Nie odważył się podnieść wzroku, więc patrzył wciąż na jej odbicie w wodnej gładzi. Czekał, żeby się do niego odezwała. Wiedział, że będzie to ten sam głos, który od rana brzmiał mu w uszach. Wiedział, że będzie to głos, który niesie się w powietrzu niczym skrzydlata strzała i drży jeszcze długo po tym, jak trafi celu.

Dziki ptak przeciął w locie obraz na powierzchni wody. „Zniknęła" – pomyślał człowiek. Podniósł wzrok, ale ona naprawdę przed nim stała.

Przemknęło mu przez głowę, że musiała się zgubić, a on ją znalazł, tak samo jak niedawno znalazł zgubione wspaniałe odzienie. Zanim zdołał przemówić, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Pójdę z tobą.

Zrobiło mu się nieswojo. Poczuł ciepłą skórę i krew, która pod jego palcami nie stygła, tylko stawała się coraz cieplejsza.

Ponieważ nie zwykł dużo mówić, nie zapytał o jej los. Nie zapytał również o jej imię, przecież sam nie miał imienia.

Wrócili razem do jego domostwa. Oswojone zwierzęta, mieszkające z człowiekiem bez imienia, nie przestraszyły się przybyłej. „Dlaczego miałyby się przestraszyć, skoro ja sam się nie dziwię, że ta piękna kobieta chce ze mną żyć?" – pomyślał człowiek.

Nie miał wątpliwości, że nie była to zwyczajna kobieta. Bo która kobieta tak beztrosko poszłaby z obcym mężczyzną i równie beztrosko bawiłaby się z dzikimi zwierzętami, nie wiedząc, czy są oswojone? Która ostrza miecza czy grotu strzały dotykałaby bez trwogi, że się zrani?

Poza tym robiła wszystko, co robią inne kobiety: zajmowała się domem, a zanim minął rok, mężczyźnie urodziła córkę.

W tej historii nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie szczęście – większe niż to, którego mężczyźni doznają zazwyczaj w objęciach kobiet, oraz dziwne życzenie kobiety – oczekiwała, że jej mąż nigdy nie zapragnie zobaczyć jej nagiej. Straciłby ją w tej chwili i już nigdy nie odzyskał.

Dlaczego ów człowiek nie miałby spełnić jej życzenia? Do tego człowiek, który nigdy nie poszukiwał własnego imienia. Który król czuł u swojego boku delikatny puch tak cennej zdobyczy?! Który władca dotykał tak szlachetnego łupu?! Kto chciałby wydać ją na pastwę wzroku?! Czy nie ma światła gorszego niż tysiące ludzkich oczu?!

Pewnej nocy miał sen, że idzie przez las. Słyszał ciche głosy, które wzywały go najróżniejszymi imionami (jak tego dnia, kiedy spotkał swoją kobietę) – sprawdzały, czy odpowie na któreś z nich. Obudził się i już miał zamiar wyciągnąć rękę (jak zawsze, kiedy się budził) ku ramieniu żony, ku jej biodru, kiedy powiedziała:

– Wydaje mi się, że na zewnątrz jest ktoś obcy. Idź i zobacz.

Posłuchał. Odrzucił kołdrę. Zaspany, sięgnął po światło.

Wyszedł przed dom, ale nikogo nie dostrzegł.

Po powrocie miał zamiar powiedzieć: „Coś się nam obojgu przyśniło. Mnie, że ktoś próbuje dać mi imię, a tobie, że na zewnątrz jest ktoś obcy".

Zapomniał zgasić światła. Kiedy wszedł, zobaczył swoją żonę nagą. Krzyknęła i sięgnęła po królewskie odzienie, które wisiało przy łóżku.

Mężczyzna szybko zgasił światło. „Nie chciałem zobaczyć jej nagiej – zaczął sam siebie przekonywać. – Przecież ona nie może mnie za to ukarać".

Wślizgnął się do łóżka, ale znalazł je puste. Na początku się łudził, że to tylko zabawa, może próba.

– Sama mnie obudziłaś i wysłałaś na zewnątrz, żebym się rozejrzał, czy kogoś tam nie ma! – zawołał w ciemność. – Dobrze wiesz, że nie zrobiłem tego specjalnie. Chodź do mnie!

Wciąż wierzył, że poczuje jej biodro, prężne i drżące niczym kłąb biegnącego zwierzęcia, jej skórę, delikatną i ciepłą niczym ptasie pióra. Nie miał odwagi zapalić światła, więc tylko ręką i głosem wołał w mrok nocy.

O świcie zyskał pewność, że odeszła. Nigdy nie zapytał jej o imię, nie wiedział, jak mógłby ją przywołać. W rozpaczy wołał ją imieniem świtu, imieniem słońca, imieniem łowu, imieniem córki, która po niej została. Wołał ją (choć nigdy wcześniej nie zwracał się do niej jakimkolwiek imieniem) imionami ptaków, imionami samic. Wołał ją imieniem ciemności, którą kochała, kiedy tak skrzętnie chroniła swoją nagość przed światłem. Wołał ją imieniem światła, które na nią padło i uniosło, po tym jak zrobiło z niej swoją zdobycz. Wołał ją imieniem poranka, kiedy myśliwy wkracza do budzącego się lasu, wreszcie wołał ją imieniem królewskiej szaty (która zniknęła razem z nią), po którą sięgnęła, kiedy znalazł się na niej promień światła.

On, który nigdy nie przyzywał jej imieniem, nigdy o imię nie zapytał, teraz szukał go między mnóstwem rzeczy. Przyświecała mu szalona nadzieja, że w ten sposób uda mu się ją odnaleźć.

Podobnie jak przedtem przepełniało go pragnienie łowów, a tego dnia, kiedy spotkał swoją żonę, zawładnęło nim pragnienie tej kobiety, tak teraz ogarnęło go dziwne pragnienie imion, zupełnie jakby mogło go przywieść na jej ślad. Odnalazł już setki, setki imion. A może nawet był ich tysiąc?

Pewnego dnia znowu przyszedł nad jezioro, w którego tafli zobaczył po raz pierwszy odbicie swojej żony. Zatrzymał się. Był tak nieszczęśliwy, że wypowiedział na głos jedno z tych imion, którymi ją wołał.

Z oddali dobiegły śpiew i jęk. Człowiek zaczął cicho wypowiadać inne imiona. Szeptem wymówił imię delikatnych ptasich piór, ciepłych ptasich piór, piór miękkich jak skóra pokryta puszkiem, której dotyk wlewa w ludzkie żyły szczęście.

Na wodnej gładzi pojawiły się tylko wiatr i odbicia dwóch ptaków. Wznosiły się wysoko. Leciały tak wysoko, że człowiek na dole ich nie słyszał.

– Czy człowiek, który siedzi, tam, na dole, nie jest tym, z którym żyłaś dwa lata? – zapytał jeden z tych ptaków.

– Tak, to on – odrzekł drugi.

W tej chwili człowiek (który miał niezwykle czuły słuch) podniósł głowę. Widział tylko dwa ptaki, które opadły na powierzchnię wody. Na wodzie powstały kręgi i zaczęły się rozchodzić. Dotarły do brzegu, na którym siedział człowiek.

Człowiekowi się wydało, że jeden z tych ptaków powiedział:

– Rzuć się w toń przed sobą, zapomnisz o swoim strapieniu. Znajdziesz tam swoją żonę, znajdziesz tam szczęście, które poznałeś w jej objęciach. Rzuć się, nie zwlekaj! Przypomnij sobie, że po raz pierwszy ukazała ci się w tym zwierciadle. Rzuć się, a znajdziesz ją tam.

Człowiek na brzegu był gotów posłuchać tego głosu. Nagle jednak usłyszał inny głos, który przypominał głos jego żony:

– Nie słuchaj! Nie znalazłbyś mnie, tylko zaprzepaściłbyś swoje życie! Wracaj do domu, do naszego dziecka!

Człowiek posłuchał tego drugiego głosu. Podniósł się i ruszył do domu.

– Słyszałem jej głos – powiedział – ale nie znalazłem imienia tak silnego, żeby zdołało ją przywołać.

Dwa ptaki wzniosły się wysoko nad jezioro.

– Dlaczego go uratowałaś? – odezwał się jeden z nich. – Gdybyś się nie odezwała, zginąłby. Dlaczego nie pozwoliłaś mi go zniszczyć?

Drugi ptak nie odpowiedział.

Ptaki wzniosły się wysoko nad lasem, nad górami. A w dole kroczył człowiek, wracał do swojego domostwa, do swojego dziecka.

Dziecko wybiegło mu na powitanie i w dziecięcej paplaninie powtarzało słowa, które ojciec często wypowiadał. Wziął dziecko na ręce i w dziecięce włoski zaczął szeptać imiona delikatnych ptasich piór, ciepłych ptasich piór, miękkich jak skóra pokryta puszkiem, której dotyk wlewa szczęście w ludzkie żyły.

Opowiadanie patetyczne

O, Morze Śródziemne, kolebko poetów kołysana falami mieniącymi się złotem i lazurem! O, fale niosące na grzbietach ładunek kobaltu, złota, miedzi, cyny, ołowiu, żelaza, oręża, od którego rozkrwawią się rany! Fale Morza Śródziemnego, kołyszące poetę z sercem pełnym dziecięcej radości, ale i odwagi wojownika! Turlacie drobny kamyk wśród skał szarych i purpurowych. W waszym rewirze żyją najpiękniejsze ludzkie wyobrażenia o świecie, o wszechświecie, o pięknie, o szczęściu i o należytym porządku ziemskich rzeczy. Człowiek jest niewidzialną cząstką tego kamyka poruszanego przez was nieustannie. Który artysta nie zapragnął pewnego dnia wsiąść na unoszoną wami łódź…?

Dzicy Maurowie! Piraci! Czym dla was jest poeta? Przedmiotem drwiny? Pogardy? Obojętności? Krąży przecież opowieść o tym, że Maurowie obeszli się z poetą nadspodziewanie łaskawie, a jeżeli ten czy ów zrabował odeń pieniądz, stało się tak w dobrej wierze, tylko dlatego, że jeden miał więcej, a drugi – mniej. Ich przywódca poetę otoczył pieczą. Odrzucił pieniądz znaleziony w kieszeniach jeńca i pazerne ręce okrzyknął strasznym głosem. Dlaczego? Dlatego, że pirat i poeta to pobratymcy. Porządni ludzie mają obu w pogardzie. Tyle że ci, którzy sięgają do kieszeni poety, nie wiedzą o tym. Myślą tylko o spodziewanym łupie. Jednak przywódca musi czuć i myśleć za nich. Musi znać każdą ludzką słabość i każdą siłę, które mogłyby zagrozić drużynie.

Przywódca piratów dzierży książkę w dłoni. Książkę, która wypadła z tobołka poety. Jest w niej mowa o odwadze i o okrucieństwie, z których słynie wódz piratów. Poeta uczynił z niego kochanka i wyzwoliciela ciepiących. Poeta uczynił z niego siebie. I siebie, i jego przyozdobił purpurą skał i wdziękiem fal. Dziecinne słowa dla człowieka, który musi stać na straży swojego życia we dnie i w nocy! A przecież wódz piratów się uśmiecha i poecie okazuje życzliwość. Rozumieją się ich oczy, rozumieją się, chociaż oni pozostają dla siebie niepojęci. Cóż zatem wyraża to porozumiewawcze spojrzenie? Najpewniej można by rzec: jest w nim poczucie braterstwa.

Cytadele Maurów pozostały za nami w chmurach, a łódź, którą podróżował poeta, wreszcie zawinęła do portu.

Poeta nierad by przeoczyć chwilę, w której po raz pierwszy miał ujrzeć brzeg świata – ojczyzny swoich największych poprzedników. Czuł drżenie w żołądku. Ani kielich wina, ani kilka sucharów nie pozbawiły go poczucia niepewności i niepokoju po burzy.

Statek wreszcie przybija do brzegu. Fale cofają się za nadbrzeżne wały, cytadele Maurów spowija welon mgły. Nad najpotężniejszą z nich widnieje biała chmura. Bóstwo najpierw spuszcza kaskady wody na świątynię wzniesioną ku jego chwale, a potem świątynię obsypuje błyskami strzał. Szczyt góry ginie we mgle i w chmurach.

Łódź kołysze się coraz wolniej. Pojawiają się damy, których nie było widać podczas morskiej podróży. Pojawiają się urzędnicy, żeby skontrolować dokumenty podróżnych. Damy, czego mogliśmy się spodziewać, nie zwracają uwagi na poetę, są zbytnio strudzone, zaś urzędnicy pozwalają poecie postawić stopę na ziemi obiecanej muz.

Chcecie dalej obserwować go wraz ze mną? Nie mogę wam obiecać przygód, jakich zapewne oczekujecie. Będziecie rozczarowani, tak jak rozczarowany był poeta. Padniecie ofiarą złudzeń, ponieważ tak samo jak on nie chcecie – nie możecie – w jednej chwili wyzbyć się wszystkiego, czego się nauczyliście. Będziecie walczyć na przemian z rozczarowaniem i z zachwytem. Bądźcie gotowi!

Pierwszy widok był jednak wspaniały…! A wszystko, co po nim nastąpiło…

Przede wszystkim sama przystań to przybytek nieładu, brudu i biedy. Najgorsza była droga. Droga…? Raczej wąwóz pełen wertepów, z rzędami nędznych domków!

Bogowie olimpijscy, jak was dostrzec pod tymi śmierdzącymi łachami, pod chorobami skóry, pod głodem, cierpieniem i brzydotą?!

Bogowie olimpijscy przyodziani w szaty szafranowe i tęczowe, utkane przez niebo i ziemię!

Bogowie olimpijscy zamieszkujący szczyty gór, koryta rzek, drzewa, trzciny i delikatne kwiaty!

Pozwoliliście ludziom, żeby przedstawiali wasze twarze i kształty. Żeby poznali prawa rządzące światem. Żeby poznali waszą wolę i ją wypełniali.

Bogowie olimpijscy, ludziom wysyłaliście dary za pośrednictwem muz, swoich wysłanniczek, żeby tworzyli dzieła, w których mogliście znaleźć upodobanie. Wasze roztrzaskane ołtarze zostały zaludnione przez zgraje żebraków. Czy taki był wasz zamiar? Przemówcie!

Co wam przyświecało? Wam, którzy ludzi uczyliście pierwszej pracy, pierwszej myśli, pierwszego rzemiosła. Wam, którzy w ludziach zasialiście pierwszy system filozoficzny, pierwszą odę, pierwszą tragedię, pierwszy traktat o państwie.

Wasze wspaniałe siedziby, spowite obłokami, wznoszą się ku niebu ograbione, splądrowane, zburzone. Straciliście władzę? Czyżbyście na starość tak opadli z sił, że nie pozostaje wam nic innego, jak tylko barłóg i kawał spleśniałego chleba dzielić ze swoimi potomkami? Potomkami, którzy wzniosłe wzorce ludzkości sprowadzili do żebractwa, a teraz czekają, aby w płachtę wpadł im pieniądz bogatego cudzoziemca, który odwiedza wasze zrujnowane świątynie. Nie mogę w to uwierzyć…! Nie mogę się pogodzić z waszą nędzą!

Słyszeliście poetę! Z rozwianym włosem, z wysokim czołem, z rozwianą myślą. Jednak on również musi teraz, jak to się powiada, zwrócić oczy ku codziennej

rzeczywistości. Jakiś czas przeznaczy na poszukiwanie mieszkania. I na odpoczynek po podróży, który z powodu niecierpliwości poety będzie krótki.

Najpierw należy zaprowadzić porządek, do jakiego przywykliśmy. Każdy przecież ma pod tym względem własne upodobania, którym hołduje nader konsekwentnie. Jeden kładzie nacisk na to, żeby zawsze towarzyszył mu jakiś obrazek – czy to święty, czy to przedstawiający kogoś szczególnie bliskiego sercu. Inny pilnuje, żeby mydło i szczoteczka do zębów zawsze leżały na właściwym miejscu. Trzeci musi zrazu się posilić, inny – najpierw zajmuje się swoimi książkami. Jeszcze inny dopóty nie zazna spokoju, dopóki się nie przekona, że nie pogniotła mu się jedwabna kamizelka, i dopóki nie sprawdzi, w jakim stanie jego nowy kapelusz przetrwał podróż. Dbałość o odzienie jest bardzo ważna, przecież nie wiemy, z kim się spotkamy, kogo poznamy.

Na zewnątrz rozległ się kobiecy śmiech. Miłostki przeżyte w czasie podróży zazwyczaj nie przeradzają się w nic poważnego. Przygodne spotkanie, spojrzenia i pocałunki, wymiana obcobrzmiących słów – to wszystko co prawda ma swój urok, ale z góry jest skazane na rozproszenie się w dali między miastami, krajami a klimatami.

Jeżeli te dwie roześmiane dziewczyny, które poeta dojrzał przez okno, są bliźniaczkami, albo nawet tylko siostrami, to możliwe, że nigdy się nie dowie, którą z nich naprawdę kochał: Haidé czy Florę? Przerzucały się łamaną francuszczyzną i angielszczyzną, kiedy poetę chciały oświecić. Ponieważ były dwie, matka mogła przystać na te spotkania. Każda z nich pilnowała, aby ta druga nie rozgościła się przed nią w sercu poety.

Ponieważ był cudzoziemcem, pozwalały mu na intymności, które w wypadku kogoś innego uznałyby za nadużycie. Pokazywały mu, jak wygląda ich narodowy strój. Wśród śmiechu i chichotów, pisków i śpiewu prezentowały części ubioru, a jednocześnie – wspaniałości własnych kształtów. Haftowany gorsecik budził podziw razem z piersiami, a spódnica – ze szczupłymi nogami. Kiedy jednej z nich oraz poecie pociemniało w oczach, nieokiełznany wybuch śmiechu tej drugiej wnet przywracał atmosferę wesołej zabawy.

Nie było powodu, żeby nie mogły widywać poety w ogrodzie, przecież był ich sąsiadem, a matka cały czas mogła je widzieć z okna.

Były to księżniczki czy pasterki? Nie mogły być jedynie dziewczętami, które uczą się obcych języków w szkołach klasztornych! Poecie tłumaczyły pieśni pasterek i królewskich cór. Poeta nie wiedział, czy ma przeżyć z nimi krótkie i błogie chwile radości, czy też powinien paść przed nimi na kolana i błagać o litość. Uczyły go melodii i śmiały się przy każdej jego drobnej niezręczności. Na ich wzór tworzył poeta swoje pasterki i księżniczki, a siostry bawiły się z nim jak z kochankiem, którego nie musiały się obawiać. Rozstali się – tu znacznie wyprzedzamy wydarzenia – ze smutkiem, jaki towarzyszy nierzeczywistym uczuciom.

Żegnajcie, Haidé i Floro, żegnajcie!

Już mamy się rozstać? Przecież dopiero się poznaliśmy!

Po przyjeździe w nowe miejsce należy odbyć wizytę z listem polecającym. Założyć ubranie nie nazbyt eleganckie, ale też nie za bardzo znoszone, jedno i drugie uraziłoby godność przyjmującego urzędnika, który jest ważną osobą, poza tym nie wypada, aby byle fircyk prezentował ostatni krzyk mody. Z tego względu odpowiednie ubranie jest bardzo ważne – nie tylko ubranie, lecz także spojrzenie, które nie powinno być ani zbyt pewne siebie, ani zbyt uniżone.

Urzędnik uśmiecha się na myśl o tych młodych ludziach, przekonanych, że wiersze mają większą siłę niż podpis jego pióra zamoczonego w eleganckim kałamarzu, który stalówce sunącej po papierze użycza własnych skrzydeł z brązu, a zwrotom i wyrażeniom przydaje kwietnego ornamentu.

Muza na zegarze za plecami urzędnika śle poecie znaczące spojrzenia. Chciałaby, żeby ją zauważył i wyswobodził. Jest bardzo nieszczęśliwa, wydaje się jej, że już nigdy nie zostanie kochanką poety. Co ma ze sobą począć u tego trzeźwo myślącego człowieka?!

Urzędnik plecami zasłania muzę. Jest bardzo uprzejmy, lecz bez wątpienia w razie potrzeby potrafiłby się zdobyć na surowość.

We wszystkim idzie poecie na rękę. Które miejsce pragnie odwiedzić? Może liczyć na wsparcie urzędów. Ma list polecający? Ucieszylibyśmy się z małżonką, gdyby zechciał zjeść z nimi obiad.

Poeta uzyskał pozwolenie na odbywanie wycieczek, snucie marzeń oraz składanie wierszy. Przecież kiedyś kraj może mieć z tego korzyść. Turyści będą chcieli odwiedzić miejsce, w którym powstał ten czy inny wiersz. Będą sprzedawane pocztówki z wizerunkiem poety, który siedzi oparty o marmurową kolumnę, zapatrzony w morze. Dzięki temu wiele osób zarobi na życie. Jakiś człowiek będzie wskazywał turystom imię poety wyraźnie napisane na marmurze. Będą zarabiać przewodnicy, restauracje, sprzedawcy suwenirów.

Im więcej takich pamiątek zostawi za sobą poeta, tym lepiej, a jeżeli nie, to obrotni kupcy je wymyślą. Choćby miejsce, w którym spotykał się z Florą i z Haidé.

Czasami z takimi rzeczami są kłopoty: niektóre miejsca godne pamięci jakby znikają z powierzchni ziemi, inne zaś wyglądają mało atrakcyjnie. Weźmy na przykład miejsce, w którym swego czasu wznosiła się akademia. Obskurna przestrzeń – świątynią geniuszu! Nawet imiona Sokratesa czy Platona wam nie pomogą, sukces odniesiecie tylko u nielicznych osób całkiem pozbawionych uprzedzeń. Szersze audytorium słusznie się domaga, aby przybytek sztuki odznaczał się czymś nieprzeciętnym. Dlatego jest wskazane, żeby poeta wybierał dla siebie miejsca odpowiadające gustom powszechnym.

Że takie miejsce nie sprzyja zdrowiu? Bez obaw! Malarii, na którą umarł, nie nabawił się poeta w tej poetyckiej okolicy. Gdyby ograniczył się do rozsądnych wycieczek, których każdy człowiek potrzebuje dla rozrywki, gdyby jego dziwaczna natura nie popychała go ku bezsensownym przygodom, jego koniec nie byłby tak marny. Malaria zbiera żniwo tam, gdzie noga porządnego człowieka nigdy nie

postanie. Zapuściła się tam grupka żołnierzy pod wodzą nieodpowiedzialnych ludzi. Wśród nich niestety był nasz poeta.

Opiszę wam to miejsce, do którego zapewne nigdy nie zawitacie, nawet jeśli odwiedzicie ten obcy kraj i podążycie szlakiem poety, nawet jeżeli na własne oczy zobaczycie jego podpis na marmurowej kolumnie. Zaprowadzę was do miejsca śmierci poety, żebyście zrozumieli, co znaczą zmatowiały pukiel jego włosów, tobołek, łóżko polowe i pożółkła kartka, kiedy zobaczycie je w muzeum. Oznaczają malarię, oznaczają gorączkę i malignę, co tak wielu jest gotowych uznać za jakąś pomyłkę czy jakieś dziwactwo. Oznaczają bohaterskie wiersze, które nie zostały napisane dla rozrywki czytelnika.

Błogosławiony poeto, który nie umierasz w łóżku i którego akademia nie odprowadza na cmentarz!

Błogosławiony poeto! Zapewne zostaniesz od razu powitany przez rozgadanego Sokratesa, który nie daruje sobie złośliwej uwagi na temat twojej twórczości, tylko po to, żeby wciągnąć cię do dyskusji.

Morze mieni się od szybkiego ruchu morskich koni. To w cwale, to w galopie, a czasem tylko w lekkim kłusie. Pobłyskujące płaszczyzny wodne, ziemią oddzielone od morza, śpią w słońcu, spoczywają w bezruchu. W trzcinach kryją swój jadowity cierń i przy wtórze radosnych parsknięć morskich koni zieją cuchnącym oddechem. Mieszkańcy wioski przywykli do komarów i do tej ohydnej wody, która w deszczowe dni zalewa im chaty.

Malaria leży bez ruchu w moczarze i za każdym razem, gdy widzi poetę, łypie okiem, okiem śniętej ryby. Co jej tam miejscowi wieśniacy, którzy tak czy inaczej muszą jej oddać to, co się jej należy! Żołnierze też jej nie interesują. Interesuje ją poeta, który ma piękne kędzierzawe, miejscami posiwiałe włosy. „A przecież jest jeszcze młody" – szepcze malaria niczym stara kobieta, która w swoim bagnistym łożu upaja się myślą o pieszczotach młodego kochanka. Za każdym razem kiedy poeta znajduje się w jej polu widzenia, otwiera oko martwej ryby, które błyska wśród szarozielonych łachmanów utkanych z sitowia.

Malaria nie wierzy, że poeta mógłby się jej oprzeć, kiedy nastanie pora deszczu. Ale nie potrafi czekać cierpliwie. Owładnęła nią miłosna żądza, więc w nocy podpełza pod sam dom, w którym zatrzymał się poeta, i czeka, żeby otworzył okno. Czeka, aż wróci z wycieczki. Niecierpliwie dotyka jego ubrania – jest wilgotne po deszczu.

Ach…!

Malaria już nie leży w bagnie, dopięła swego, wślizgnęła się do łóżka poety.

Ludzie przychodzą dowiedzieć się o jego zdrowie. Przychodzi też urzędnik – odwiedziny u poety są pretekstem, żeby się zorientować w pogłoskach, które krążą na temat jego pobytu w tych stronach. Urzędy mają same kłopoty z poetami. Poeci sieją zgorszenie swoim życiem i – urzędnik nie chciałby wypowiedzieć tych słów przedwcześnie – swoją śmiercią.

Przed domem zebrało się parę osób.

– Odejść! – ktoś krzyknął.

Wszyscy się rozpierzchli – oprócz jednego człowieka, który pozostał, jakby ten rozkaz go nie dotyczył.

– Czego tu szukasz?!

– Czekam na wiadomość o zdrowiu poety.

– Poety?! Przecież ty nawet nie umiesz czytać!

– Nie umiem czytać jego wierszy, ale słyszałem, że chce dla nas dobrze.

– Ktoś ci naopowiadał niestworzonych rzeczy. Wracaj do domu, szybko!

Martwe oko malarii spoczywa w bagnisku. Jest rozczarowana. Co prawda udało jej się wziąć kochanka w objęcia, ale z obrzydzeniem się w nich rzucał – jeszcze teraz jej dotknięcia przyprawiają go o dreszcze zgrozy. Wypełzła, zniechęcona, z łoża poety. Szpetna, obmierzła, z wykrzywionym obliczem, okryta płaszczem utkanym z sitowia. Odpełzła, mrugając rybim okiem, które straciło błysk lubieżności. Odpełzła i zostawiła po sobie ohydny odór.

Z oddali dobiegają tętent morskich kopyt i spienione tchnienie. To muzy przycwałowały, żeby pożegnać się z ulubieńcem.

Niosą mu ukojenie, ale on nie rozróżnia ich postaci, mylą mu się ze wspomnieniami o siostrze, o żonie, o córce, o kobietach, które kochał.

U wezgłowia stoi jedna z muz, z dłonią na jego czole, z jej oczu spływają ciche łzy. Druga wyjęła nożyczki z inkrustowanej kasetki, którą ze sobą przyniosła, i odcięła pukiel z czoła poety, przesiąknięty śmiertelnym potem.

Na zewnątrz rozpłakał się człowiek, który czekał na wieści o chorobie poety. Z twarzy wychodzących muz wyczytał, że to koniec. Ostatnia z nich pochyliła się ku niemu ze współczuciem.

– Nie rozpaczaj! – szepnęła. – Mój kochanek umarł, ale ja jestem nieśmiertelna!

O, brudna grecka noro, gdzie młody artysta spędzał noce, przewracając się gorączkowo z boku na bok na zawszonej pryczy! Z powodu brudu i twojej wspaniałości, z którą nic nie może się równać, nie mógł spać spokojnie. Kasłał kurzem i wdychał woń drzew pomarańczowych osypanych kwieciem.

W samo południe wyszedł z muzeum. Myślał raczej o przebiegłości Odyseusza niż o archeologii. „Skąd wziął się ten gorący fetor? Winien jest obiad? A może słońce, w którym prażą się stragany?". Na rogu ulicy stał osioł obładowany kwiatami. Ogromne ciemnoczerwone róże na długich łodygach swoim ciężkim zapachem przywodziły na myśl miłosne przygody osła Lukiana i królewskie kazirodcze dramaty.

O, młody twórco! Twojej tęsknocie, twoim śladom na obcej ziemi, twojej podobiźnie na tle starych kultur i cywilizacji, twojej radości, że udało ci się uciec od monotonii i od pęt ziemi ojczystej, twojej niestrudzenie przemieszczającej się myśli, twojej przedwczesnej śmierci poświęcam to opowiadanie. Twoim bujnym lokom naznaczonym siwizną bynajmniej nie ze starości, lecz z winy melancholii nieznającej spokoju.

Opowiadanie dziecięce

Ty i ja, droga Janinko, dogadywaliśmy się jak nikt inny na świecie. Chyba nawet byliśmy przyjaciółmi (chociaż ty byłaś dzieckiem, a ja – człowiekiem dorosłym), bo czuliśmy się bardzo osamotnieni w świecie ludzi dorosłych, którzy nie chcieli – albo nie mogli – nas zrozumieć.

Wiem, że kiedy dorośniesz, kiedy już będziesz, jak mawialiśmy, „duża", przyjmiesz poglądy większości ludzi i przestaniesz myśleć o rzeczach, które innym wydają się nierozsądne czy niedorzeczne. Kiedyś mnie spotkasz i pomyślisz sobie: „To mój stary przyjaciel z dzieciństwa!". I nie będzie mi przykro z tego powodu. Raczej będę żałować, że już nie wymyślasz historyjek, w których prawda wspiera wyobraźnię, a wyobraźnia – rzeczywistość. Że już nie starasz się przeniknąć tajemnicy ludzkiego losu. I że za naturalne uważasz wszystko, co dzieje się przed twoimi oczami.

Pamiętasz, że zawsze zgadzaliśmy się we wszystkim? Mam nadzieję, że nawet jeżeli o tym zapomnisz, wciąż zachowasz wyobraźnię i wrażliwość na prawdę. Piszę to opowiadanie po to, żeby ci o tym przypomnieć. Nie łudzę się, że kiedykolwiek powrócisz do mnie, do naszego świata. Chciałbym tylko w twojej pamięci ożywić jego uroki.

Nie wyobrażaj sobie jednak, drogi czytelniku, że Janinka była grzecznym, idealnym dzieckiem. Dorośli mogliby ją nazwać rozrabiaką. Nie, Janinka nie była bez wad. Ale miała nieskażoną duszę, otwartą na dobro i zło.

Kiedy razem czytaliśmy opowiadania z morałem – o dzieciach, które nigdy nie kłamią, nie łasuchują, nie denerwują rodziców, nie wpadają w złość, mówią prawdę, ponieważ mogą mówić prawdę, nigdy nikomu nie życzą niczego złego – kiedy czytaliśmy razem o takich anielskich dzieciach, zawsze zastanawialiśmy się nad tym, jaki piękny musi być świat, w którym człowiek nie obawia się kary, w którym nigdy nie odczuwa pokusy, żeby zrobić coś, czego robić nie wolno, w którym nie popełni żadnego błędu, nawet niechcący.

Żałowaliśmy, że nie możemy być tacy szczęśliwi, żeby rodzice mieli z nas pociechę i nie musieli nas besztać. Zazdrościliśmy dzieciom z tych opowiadań – ich schludnych, niepodartych i niepobrudzonych fartuszków (nawet jeżeli fartuszki były podarte, to zawsze ktoś się za tymi dziećmi ujął i był dla nich w dwójnasób miły) oraz szczęścia płynącego z posłuszeństwa wobec rodziców, wobec nauczycieli. Wierzyliśmy, że takie idealne dzieci gdzieś na pewno muszą żyć.

„Na przykład tacy Horakowie" – mawiała Janinka. Horakowie, którzy pożyczyli nam tę książkę o grzecznych dzieciach. Razem z Janinką doszliśmy do wniosku, że nawet jeżeli nie są to Horakowie, to na pewno na świecie znajdą się inne takie dzieci. A przy tym wiedzieliśmy, że my tacy nie jesteśmy i nigdy nie będziemy. „Ale dlaczego? – pytała Janinka. – Dlaczego nie jesteśmy szczęśliwi w ten sposób? Każdy powinien być szczęśliwy. Dlaczego nikt czegoś z tym nie zrobi? Ja bym zrobiła, ale nie wiem jak".

„Nie przejmuj się – pocieszała mnie Janinka, kiedy widziała, że jestem smutny. – Mnie też jest czasem smutno. Kiedy nagle do mnie dociera, że przy stoliku dla lalek nikt naprawdę nie będzie siedział, że w łóżeczku z baldachimem nikt naprawdę nie będzie spał. Że to wszystko jest na niby. Chodźmy lepiej na dwór!".

Janinka idzie do kuchni po swój koszyk i razem wychodzimy do ogródka.

– Poczekaj, coś ci pokażę!

Prowadzi mnie do zagonka rzodkiewki i pokazuje, po czym się poznaje, która rzodkiewka (Janinka mówi: „rzonkiewka"), jest na tyle duża, że można ją wyciągnąć z ziemi. Gdyby człowiek tego nie wiedział, wyrwałby jakąś „niedojrzałą".

– Na przykład taką – mówi Janinka i podaje mi czerwony, lekko zaokrąglony korzonek. – Ale tego nie wolno robić!

Ponieważ jest późne popołudnie, nie możemy zbierać innych warzyw. Inne warzywa zbiera się tylko rano.

– Teraz możemy wyciągać z ziemi tylko rzodkiewki na kolację – poucza.

Prowadzi mnie do selerów, do kapusty, do marchewki. Skoro nie wolno nam ich zbierać, wdychamy ich zapach.

– Coś ci o nich opowiem – mówi Janinka, żeby pocieszyć i mnie, i siebie, skoro nie napełnimy nimi koszyka.

Opowiadanie Janinki

O selerze, o kapuście, o marchewce i o bukieciku niezapominajek, które trafiły na kuchenny stół.

– Serel (jak mówi Janinka). Serel i kapusta. Czujesz, jak pachną? Z tego będzie zupa, wszystko pójdzie do garnka. Ale potem mama przyniosła z targu bukiecik niezapominajek. Serela, marchewki, kapusty (czasem też kapusty, jeżeli mają być knedliki z kapustą) nie trzeba wkładać do wody, żeby nie zwiędły, bo bierze się z nich tylko korzeń albo wszystko się od razu kroi. Tylko szczypiorek wstawia się do wody, kiedy nie jest w doniczce. Żeby bukiecik niezapominajek nie zwiądł, trzeba go położyć na talerzu z wodą. Nie wiedziałeś?

I potem na talerzu się robi niezapominajkowy wrąbek, a pośrodku pływa na łódeczce z płatka róży.

– Chodź, to ci ją pokażę!

Janinka prowadzi mnie w głąb ogrodu i pokazuje różę rosnącą w kręgu innych kwiatów, której główka kwitnie mnóstwem różowych różyczek.

– Grosiki – mówi Janinka, żebym zrozumiał, że to najdrobniejsze ze wszystkich rzeczy na świecie. Prawie tak mikre jak świat, w którym istnieją wrąbki z niezapominajek. Świat, w którym można pływać na płatku róży.

Tak się kończy opowiadanie Janinki. Rozumiem, że wszystko zostało powiedziane. Dorośli chcą, żeby opowiadania miały początek i koniec. Janinka i ja wiemy, że nie ma żadnego końca ani żadnego początku, że jest tylko świat, w którym człowiek jest szczęśliwy i w którym zawsze chciałby żyć.

Teraz siedzimy na schodku brzydkiej altanki, a Janinka proponuje, żebyśmy poszli opłukać rzodkiewki. Ale ja lubię historyjki Janinki, więc proszę, żeby jeszcze coś opowiedziała.

Janinka wiedzie wzrokiem po domach, po ogródkach, po galeryjkach.

– To może o zającu – mówi.

Opowiadanie o zającu

Na balkonie albo za oknem spyżarki (jak mówi Janinka), albo za kuchennym oknem wisiał zając. Kiedy się dobrze przyjrzysz, nawet z daleka zobaczysz zakrzepłą krew. Wiadomo, że tylko w zimie, nie w lecie. Teraz zające hasają i nikt do nich nie strzela. Tatuś mówi, że jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się chybić. Z każdego, kto nie trafi zająca, śmieje się, że jest kiepskim myśliwym. Teraz tatuś jest tu, w Pradze, więc nie poluje. Polował, gdy był na wsi, w domu. Tam zające hasają, a tu wiszą na balustradach przy oknach od podwórka.

– Lubisz zające? Czy nie lubisz? – pyta Janinka. – Wszystko, co tam wisi, nie żyje, wiesz?

– Janinko, dlaczego opowiadasz mi smutną historię?

– Boisz się?

Janinko, rozpiera duma, że jej opowiadanie zrobiło na mnie wrażenie.

– To opowiem ci jeszcze jedną historyjkę – mówi. – Ładną. A może wolisz śmieszną? Opowiem ci obie!

Opowiadanie ładne

– Jest popołudnie, tak jak teraz, i w krzaku bzu mieszkają sobie staruszek ze staruszką. I są szczęśliwi. Ale naprawdę, a nie dlatego, że są grzeczni jak te grzeczne dzieci, którymi w rzeczywistości nie są, tylko dlatego, że znaleźli krzak bzu, gdzie żyją szczęśliwie.

– Czytałem o tym w baśniach Andersena – mówię do Janinki.

– I co z tego? Ja też bym tak chciała – odpowiada i rozgorączkowana opowiadaniem, od razu chce przejść do historyjki śmiesznej. – Tego nigdzie nie czytałeś, to jest z życia. Córeczka Herbsta woziła mnie w wózku dla lalek, wiesz? Zmieściłam się w tym wózku, tylko nogi mi sterczały. I ten pan z czwartego piętra nas zobaczył, śmiał się i powiedział: „Wie Mutter und Kind!", a ta dziewczynka jest tylko o rok starsza ode mnie!

Ponieważ pan z czwartego piętra się śmiał (a pewnie rodzice Janinki – też), dla Janinki jest to „opowiadanie śmieszne". Nie dziwi się, że się nie śmieję, Janinka pewnie sama zacznie się śmiać, kiedy ją połaskoczę. Opowiedziała mi to zdarzenie, żeby pokazać, że córeczka Herbsta nie jest istotą tak drobną jak Janinka, która się mieści (prawie) w wózku dla lalek, która może się unosić na wodzie o niezapominajkowych brzegach, która może żyć w świecie, w którym róże są tak małe jak grosiki. Córeczka Herbsta jest według Janinki dzieckiem w świecie dorosłych zadowolonym z życia.

Ale teraz musimy iść opłukać rzodkiewki. Wiemy, że nie wolno się nam przy tym zachlapać, bo potem musimy powrócić do świata dorosłych, którzy wcale nie uważają, że ochlapywanie się wodą to wspaniała zabawa.

Janinko, wyrośniesz, opuścisz mnie także i ty. Tylko w naszym świecie przyjaźń zawiera się „na zawsze". Czy zostanę sam w świecie, w którym wiosłowaliśmy po jeziorach wielkości dłoni, wzdłuż brzegów okolonych niezapominajkami, gdzie dwa ludzkie życia biegną w szczęściu ku swemu końcowi na skłonie pięknego dnia w rozkwitłym krzewie bzu? Porzucisz mnie w samotności, z wiarą, że ludzie powinni być szczęśliwi prawdziwym szczęściem, a nie – fałszywymi cnotami? Porzucisz mnie w samotności, z widokiem na sztywne zajęcze tuszki?

Pamiętasz, jak pędziliśmy razem, Janinko? Zostanę całkiem sam z naszymi opowiadaniami?

– Lepiej pobiegajmy – mówi Janinka. – Kto pierwszy!

Opowiadanie wigilijne

No proszę! Któż to pisze opowiadanie wigilijne?! Ja, który daleki byłem od tego o mile, zaśnieżone mile! (Chociaż widziałem, jak pięknie rozpryskuje się śnieg nad zajęczym śladem).

Kiedy po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, żeby napisać opowiadanie wigilijne, odrzuciłem ją. Drogi czytelniku, nie bądź złośliwy, dzisiaj jest święto ludzi dobrej woli. I chociaż jesteś daleko ode mnie, zabolałaby mnie twoja uwaga, zupełnie jakbym ją usłyszał: „Dlaczego zatem nas nie oszczędziłeś?!".

Odpowiadam, że nie chciałem go napisać. Opowiadałem je sam sobie tak długo, aż zaistniało, a ja nie mogłem się powstrzymać, żeby komuś go nie opowiedzieć.

Jednak właśnie jest lato, a ty siedzisz gdzieś w ogrodzie albo słuchasz bębnienia deszczu o szyby. A jeżeli ogarnia cię miejskie zmęczenie, nie zaczynaj czasem czytać! Moje opowiadanie wigilijne jest prawdziwym opowiadaniem wigilijnym, więc powinno być czytane tylko w święta Bożego Narodzenia, tak samo jak tylko wtedy śpiewa się kolędy i je się wigilijną rybę. Tak to jest – i nie inaczej.

Zawsze chciałem w porze świąt przeczytać opowiadanie wigilijne. Sam nie wiem, jak to się stało, że nigdy żadne nie wpadło mi w ręce w odpowiedniej chwili. A jeżeli już przeczytałem jakieś w świątecznym dodatku do gazety, to nigdy nie znalazłem tam tego, czego pragnąłem.

Nie jestem tak zadufany w sobie, żeby sądzić, że zaspokoję twój gust. Mimo to nieśmiało cię zachęcam, żebyś ze mną wkroczył w świat mojego opowiadania wigilijnego.

Wszystko jest tam prawdziwe. Kiedy to piszę, jest Boże Narodzenie i pada śnieg.

Zaprotestujesz, że śnieg w opowiadaniu jest czymś banalnym. Odpowiem, że to zależy, jak go wykorzystamy.

Gdy zastanawiałem się nad opowiadaniem wigilijnym, doszedłem do wniosku, że najważniejszą rzeczą jest nie śnieg, tylko – światło. A raczej – przeciwieństwo: światło i mrok. Uświadamiam sobie, że od dzieciństwa opowiadanie wigilijne postrzegałem jako kontrast blasku i ciepła w stosunku do mroku i chłodu. Wówczas rysowało mi się tak, że ktoś stoi na ulicy i patrzy w okno, w którym widać rozjarzoną choinkę. Ci w środku są szczęśliwi i zadowoleni, a ten, kto patrzy z zewnątrz, jest samotny i smutny. Ot, zwykłe możliwości wynikające z owych różnic dotyczących światła, które w opowiadaniu wigilijnym powinny znaleźć rozwinięcie i zakończenie.

Później sił spróbowałem w bardziej subtelnych odcieniach światła: blask świeczek tonął w lodowatym mroku, ale na stole nie było świątecznego drzewka, leżała tam biała rękawiczka. To są zaledwie szkice. Do rzeczy zasadniczej nawet się nie zbliżyliśmy.

W opowiadaniu wigilijnym rzeczą zasadniczą jest cudowny zwrot akcji. Cudowny zwrot w Betlejem, w duszy człowieka – czy dotyczy rękawiczki, czy też losu całej ludzkości. Zawsze – jak każdy – pragnąłem doświadczyć wigilijnego cudu.

W wigilijny poranek nie zdarzyło się wam obudzić z osobliwą nadzieją w sercu? Tego dnia nie otwieraliście niecierpliwie kopert, chociaż wiedzieliście, że są w nich tylko nic nieznaczące życzenia? Nie czekaliście – jak pasterze i mędrcy – na cud i objawienie?

Przyznam się wam, że ciągnie mnie do orszaku mędrców, którzy zobaczyli gwiazdę zwiastującą cud i ruszyli za nią. Tak samo jak oni pragnę zobaczyć cud, który potwierdziłby to, co mądrość przewidziała i co pragnęła osiągnąć.

Zostawmy za sobą śnieg opowiadania wigilijnego ze świątecznego dodatku do gazety. Lepiej poczytajmy o spisie powszechnym, który dotyczy i biednych, i bogatych. O odkryciu nowej gwiazdy. Taka nowina dotrze nawet do najmniejszej wioski.

Wyobrażam sobie, że ta wioska leży u podnóża gór. Jest biedna, zbudowana z kamieni, pobielona wapnem, a jej ubóstwo i klimat (kontrasty światła i mroku zapewnia ostre światło słoneczne i cienie) pozwalają nam zajrzeć do warsztatów rzemieślników: garncarzy, cieśli, szewców. Gospodynie przesiadują na przyzbie, a dzieci raczkują na drodze, której żadnemu obcemu nie uda się przejść, żeby nie znaleźć się w centrum uwagi i nie wzbudzić zaciekawienia.

Suche i pożółkłe palemki na okapie, pozostałe po minionej Wielkanocy, osiołek poruszający żarna – to wszystko przypomina znane nam historie.

Lepiej zwróćmy uwagę na te domki bez drzwi, bez okien, gdzie swobodnie docierają powietrze i blask. Gdzie równie swobodnie może zstąpić anioł i zwiastować ubogiej żonie rzemieślnika.

W kawiarence naprzeciwko mężczyźni rozprawiają o ogłoszeniu spisu powszechnego. Żona rzemieślnika myśli o swoim porządnym i pracowitym mężu. Nie siedzi z innymi kobietami na przyzbie. Być może myśli o owym wiosennym dniu, kiedy siedziała tam, gdzie teraz. Przez okno wpadało światło słoneczne i zapach fiołków, a Marii nagle się wydało, że ktoś wszedł i przyniósł świeżą gałązkę palmową. Pozdrowił ją: „Zdrowaś, Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami". Od owego pięknego kwietniowego dnia minęło niemal dziewięć miesięcy. Doszło do tego, co zapowiadały rozmowy w kawiarni naprzeciwko: do spisu ludu.

Tak więc Maria, mimo że lada dzień spodziewała się rozwiązania, musiała razem ze swoim mężem udać się na spis. Znacie wydarzenia, które potem nastąpiły,

przynajmniej w ogólnym zarysie. A teraz zdecydujcie, gdzie chcecie dołączyć: do zastępu pasterzy czy do orszaku mędrców, którzy wyruszą w drogę do miejsca, gdzie Maria znalazła schronienie, gdy nadszedł jej czas.

Już wspomniałem, że ja dołączę do drużyny mędrców – podoba mi się ich sposób myślenia i wyrażania myśli. Dlaczego macie obiekcje? Tylko dzisiejszy punkt widzenia sprawia, że owi mędrcy mogą się wydawać istotami nieprzeniknionymi. Oni tak o sobie nie myśleli. Byli ludźmi, którzy interesowali się współczesną literaturą – ta wszakże wówczas miała inny charakter niż dzisiaj. Myślę, że mieli w sobie więcej życia niż którykolwiek z dzisiejszych pisarzy i myślicieli. Nie brakowało im prawdziwego wyczucia rzeczywistości, którą się żywo interesowali. Dla nich słowo było ciałem. Wierzyli, że słowa oddzielone od życia nie przyniosą ludziom zbawienia. Dodajmy, że w owych czasach sytuacja polityczna i gospodarcza zmieniała się tak samo dynamicznie jak dzisiaj. O tym rozprawiali mędrcy, a potem ruszyli w drogę, żeby o wszystkim przekonać się naocznie.

Spotkałem ich przy zdroju, gdzie poili swoje zwierzęta. Być może przedtem było to święte źródło – chociaż tryskało w miejscu trudno dostępnym dla ludzkiej stopy, otaczała je marmurowa kolumnada. Być może kiedyś swoje siedlisko miało tu jakieś bóstwo. Podziwiałem tę wdzięczną budowlę i od razu przyszli mi na myśl filozofowie, poeci i mężowie stanu, którzy składali ofiary tym bóstwom. Aczkolwiek dla mędrców owe bóstwa były zabobonami świata minionego.

„Ludzie już nie wierzą, że to źródło mogłoby ich uzdrowić" – zauważył jeden z mędrców. „Już nie jest inspiracją dla poetów" – dodał drugi. A trzeci: „Urzędnicy daremnie próbują omyć w nim koniuszki palców". To ostatnie nie było dla mnie zrozumiałe, więc ruszyliśmy dalej w drogę.

Sami widzicie, że niespecjalnie trudno dołączyć do orszaku mędrców, jeżeli człowiek zachowuje się skromnie i nie rzuca się w oczy. Nie bez znaczenia jest także łut szczęścia. Poznacie ich poglądy. Nie mają uprzedzeń (o ile człowiek w ogóle jest w stanie ich się pozbyć), nie posługują się frazesami, są zarówno poetami, jak i mędrcami. Dopiero po rozdzieleniu tych dwóch rzeczy nastał czas, w którym cuda przestały się zdarzać.

Podzielam, mimo swojej marności, pragnienie mędrców, żeby wywikłać się z czczej teorii i ruszyć ku cudowi narodzin.

W naszej wigilijnej historii musimy jednak pozostać na uboczu – wejść do niej mogą jedynie trzej królewscy mędrcy oraz delegacja pasterzy. Ale co tam, i tak w pewien sposób bierzemy udział w tym wielkim wydarzeniu…! Pastuszkowie na zewnątrz śpiewają piosenki ludowe. Rozmawiają o owcach, o cenach, o Herodzie. Blask bijący ze stajenki jest rozświetlany przez śnieg. Śnieg?! Pod palmami?! Naprawdę?! Co jest rzeczywiste, a co – nierzeczywiste? Śnieg? Palmy? Jedno i drugie.

Bożonarodzeniowe słońce świeci na suchy śnieg. Czy ta przemiana wody w białą materię nie jest cudem? Czy nie jest cudem nad cudami, że z jednej istoty powstaje druga? Czy narodziny materii nie są tak subtelne, że staje się ona duchem?

Zwierzęta, które stają się świadkami tego cudu, wcale się nie dziwią. Dziwią się tylko ludzie małej wiary. Woda zmienia się w śnieg, jodła – w palmę, rzeka – w lód, a słowo ciałem się stało.

Moją duszę ogarnia błogość, jaka powinna przypaść w udziale każdej duszy, której dane jest uczestniczyć w którymś z tych cudów. Pasterze, Maria, mędrcy, Józef – oni wszyscy mieli w sercu dużo miłości. Nie macie pojęcia, jak to wszystko ułatwiło.

Uśmiechajcie się, jak się uśmiechali wykształceni rzymscy urzędnicy. Dla nich to wszystko – dzieciątko, Maria, Józef, pasterze, mędrcy – było lokalną sprawą bez znaczenia. Jeżeli będziecie mieć ich butę (nietrudną do zrozumienia), nigdy nie pojmiecie istoty cudu narodzin. Przejdzie obok was, niewidziany, niesłyszany. Takim cudem mogą być również narodziny nowego – czy to w dziejach ludzkości, czy też mikroskopijnej materii. A może być nim również ten cud, którego całe życie pragnie wasze serce.

MILADA SOUČKOVÁ (1898–1983), czeska pisarka, historyk literatury i dyplomatka. Znana jest głównie z wprowadzania do literatury czeskiej technik modernistycznych stosowanych przez pisarzy anglojęzycznych, takich jak Laurence Sterne, James Joyce czy Virginia Woolf. Jej zebrane dzieła w Czechach zostały wydane w 11 tomach, w latach 1995–1997, a następnie w latach 1997–2010.

Rudolf Čechura

Przygody maksipsa Fika

Przełożyła Maria Marjańska-Czernik

Fragment

Narodziny maksipsa Fika

Za lasem stał domek, w domku mieszkał chłopczyk… Ale on nie znał się na żartach. Już prędzej jego siostra. Na imię ma Alenka. Kiedy prawie nie umiała mówić, zaczęła nazywać się Ają. A gdy już umiała mówić trochę więcej, powiedziała do tatusia:

– Tata, ja chcę fobie pfa.

Bo jeszcze nie umiała wymówić „S".

– Mówi się: „ja bym chciała psa", a nie: „ja chcę sobie psa" – pouczył ją tatuś.

– Ja bym chciała – powtórzyła. – Ale chcę fobie pfa.

– A kiedy czegoś się chce, trzeba powiedzieć: „proszę".

– Pfofę – powiedziała Aja.

Więc tatuś jej kupił tego psa. Dużo powiedziane: „psa". Takie małe, rozkoszne szczeniątko. Było o wiele mniejsze niż Aja. Nie potrafiło jeszcze zupełnie nic, nawet porządnie szczekać.

– Nazywa się Rek – oznajmił tatuś.

– Fek – powtórzyła Aja.

Bo nie umiała również wymówić „R".

– Rek! – zezłościł się tatuś. – Rek, a nie: Fek! Możesz wołać do niego po prostu: „Fik"!

Niby dlaczego nie? Aja zaczęła mówić do pieska: „Fik". Bo „F" umiała wymówić bardzo wyraźnie!

Najpierw Fika umieścili w pudełku po butach, ale już następnego dnia było dla niego za małe. Jakoś bardzo szybko rósł.

– Wsadzimy go do starego koszyka – zdecydowała mamusia.

I wsadzili.

Ale szczeniak niesamowicie dużo jadł. W ciągu dnia mały Ficzek wypijał trzy garnce mleka. Nagle tak wyrósł, że nie był to już Ficzek, ale – Fik. Prawdziwy Fik. Nikt by się nie domyślał, że to jeszcze szczenię.

Koszyk oczywiście okazał się za mały, więc tatuś zrobił budę z desek. Fikowi bardzo się podobała, bo była tak duża, że nawet mógł w niej machać ogonem.

Mieszkał w niej trzy dni i trzy noce. Czwartej nocy usłyszeli na dworze głośne skrzypienie, stękanie i trzeszczenie.

– Złodzieje! – przestraszył się tatuś. Złapał wiatrówkę, w piżamie wybiegł w ciemność i nieustraszenie krzyknął: – Ręce do góry!

Ale to nie byli złodzieje. To był Fik. A dokładniej: buda Fika. Zrobiła się dla niego za mała, więc cała popękała. Fik z resztkami połamanej budy chodził po podwórku i obijał się o płot, aby pozbyć się desek. Jakby wykluwał się z tej budy.

– To była taka piękna budka… – skarżył się tatuś. – I wcale nie była jeszcze zużyta!

Piesek rósł i rósł. Przestał być pieskiem i stał się porządnym psem. Albo raczej: arcypsem.

– To chyba jakiś nienasycony psi olbrzym…! – lamentował tatuś. – Boję się, że kiedyś zje wieśniaka z taczkami, wóz z koniczyną i tak dalej.

I zrobił Fikowi nową budę, jeszcze większą. Taką jak dla dwóch psów.

Aja oczywiście także rosła, ale dużo wolniej niż Fik. Stale jeszcze mieściła się w łóżeczku. I nauczyła się mówić „R". Tak ją to cieszyło, że zamiast „mleko" mówiła „mreko", a zamiast „kolano" – „korano". Ale Fika dalej nazywała Fikiem, bo on na nic innego już by nie reagował.

Fik nauczył się porządnie szczekać i tak urósł, że wkrótce i buda dla dwóch psów była dla niego zbyt mała. Któregoś razu z niej wyszedł, wypił wiadro mreka – i już do budy po prostu się nie zmieścił.

– Jejku, jaki on wielki…! – powiedziała Aja.

– Fik jest maksymalnym psem – stwierdził jej brat Czudla, który był trochę starszy i mądrzejszy.

– Co to jest maksymalny?

– To znaczy całkiem największy.

Tatuś miał jednak bardzo zatroskaną minę. Kiedy zobaczył, że Fik nawet w największej budzie się nie mieści, rozłożył bezradnie ręce.

– Nie ma wyjścia, musimy go oddać – rzekł.

Usiadł przy stole i napisał wielkie ogłoszenie: „KTO KUPI PSA?".

– Biegnij powiesić to na placyku przy stawie – rozkazał Ai.

Aja posłusznie poszła, ale przez łzy nawet drogi dobrze nie widziała. Nic dziwnego, że na grobli się potknęła i wpadła wprost do stawu.

– Ojej, ratunku! – zdążyła jeszcze krzyknąć, ale nikt jej nie słyszał.

Jedynie gołąbek, który krążył nad stawem, żałośnie zagruchał. Z tego żalu przyszedł mu do głowy genialny pomysł, więc jak odrzutowiec poleciał do domu Ai.

Śpiącego Fika kilkakrotnie dziobnął w nos, a kiedy maksipies się przebudził, gołąb szepnął mu do ucha:

– Pędź szybko, Aja się topi!

Nie widzieliście jeszcze tak szybko pędzącego psa! Prześcignął nawet lecącego gołębia! Błyskawicznie znalazł się nad stawem i bez chwili namysłu skoczył.

Woda rozbryzgnęła się na wszystkie strony, a placyku zrobił się mały potop. Ale co tam, najważniejsze, że Fik wylazł z wody z Ają na grzbiecie!

– Tato, tato! – wołała Aja do nadbiegającego tatusia. – Ficzek mnie uratował!

– W takim razie nigdy takiego psa nie oddam! – rzekł z wdzięcznością tatuś. Podarł ogłoszenie na drobne kawałki i dodał: – To już mu wolę wybudować wielką stajnię.

No i wybudował!

– Cóż to, cóż to – dziwił się sąsiad – kupił pan sobie konia?

– Nie – odpowiedział tatuś. – Psa. Ale on jest taki trochę większy.

Sąsiad się roześmiał. Fik też się uśmiechał, bo stajnia była zadaszona. Właściwie był to całkiem ładny domek. Miał w nim nawet solidne łóżko z pasiastą pierzyną. Umościł się pod nią wygodnie i zasnął, zadowolony.

RUDOLF ČECHURA (1931–2014), czeski pisarz zajmujący się literaturą dziecięcą i kryminalną, holmesolog, członek Towarzystwa Sherlocka Holmesa w Londynie i Czeskiego Towarzystwa Sherlocka Holmesa. Najbardziej znaną ze stworzonych przez niego postaci jest Maxipes Fík, którego przygody zostały przetłumaczone na kilka języków.

NASI AUTORZY

DOROTA DOBREW
Tłumaczka literatury czeskiej i bułgarskiej. Ukończyła bohemistykę na Uniwersytecie Warszawskim, studiowała też etnografię i orientalistykę oraz edytorstwo. Jest autorką przekładów wielu czeskich pozycji prozatorskich, w tym powieści, opowiadań, wierszy, sztuk teatralnych, esejów, książek dla dzieci oraz list dialogowych do filmów. Laureatka nagrody „Literatury na Świecie" w 2008 roku. Trzy czeskie powieści w jej tłumaczeniu znalazły się w finale Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, a przekłady poezji dwukrotnie zdobyły nominację do nagrody Europejski Poeta Wolności. W 2021 roku została uhonorowana nagrodą Premia Bohemica za popularyzowanie kultury czeskiej. W 2023 roku otrzymała nagrodę ZAiKS-u.

JOANNA GOSZCZYŃSKA
Slawistka, tłumaczka literatury czeskiej i słowackiej, do roku 2017 profesor zwyczajny w Instytucie Slawistyki Zachodniej i Południowej UW (w latach 2008–2016 dyrektor Instytutu), obecnie w Instytucie Slawistyki PAN. Wiceprzewodnicząca Forum Polsko-Czeskiego, przewodnicząca Polsko-Słowackiej Komisji Nauk Humanistycznych, członkini Komitetu Słowianoznawstwa PAN. Specjalizuje się w literaturze czeskiej i słowackiej XIX i XX wieku. Autorka książek: *Mit Janosika w folklorze i literaturze słowackiej XIX wieku*, 2001 (przekład na język słowacki w 2003); *Sławni i zapomniani. Studia z literatury czeskiej i słowackiej*, 2004; *Synowie Słowa. Myśl mesjanistyczna w literaturze słowackiej*, 2008; *Wielkie spory małego narodu*, 2015; *Mroczne oblicze czeskiej literatury* 2021 (przekład na język czeski w 2023) oraz kilkudziesięciu artykułów z zakresu kultury i literatury czeskiej i słowackiej. Redaktorka kilkunastu zbiorowych monografii, w tym poświęconych problemom tożsamości kulturowej na obszarze środkowoeuropejskim. Autorka licznych przekładów naukowych, popularnonaukowych i literackich z języka czeskiego i słowackiego (w niezależnym obiegu pod pseudonimem Adam Rajski).

MAŁGORZATA GRALIŃSKA
Absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Szkoły Tłumaczy i Języków Obcych UAM. Zdobywczyni wyróżnień w konkursach translatorskich organizowanych w ramach Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania (2018) oraz Festiwalu Puls Literatury (2018, 2019). W 2022 roku została nominowana do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za przekład powieści Jaroslava Rudiša *Ostatnia podróż Winterberga* (krótka lista). Uczestniczka Międzynarodowego Spotkania Tłumaczy w Literarisches Colloqium Berlin (kwiecień 2023). W 2023 roku została laureatką Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za przekład *Skąd* Sašy Stanišcia. Na język polski przełożyła

również *Duchy z miasteczka Demmin* Vereny Kessler, *Wszystko na darmo* Waltera Kempowskiego, *Ścianę* Marlen Haushofer. Członkini Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury.

MARIA MARJAŃSKA-CZERNIK

Popularyzatorka książki dziecięcej, tłumaczka (z języka czeskiego i słowackiego), redaktorka, autorka książek dla najmłodszych. Wiele lat przepracowała w czasopismach i w redakcji książkowej wydawnictwa Nasza Księgarnia. Współtworzyła pierwsze w Polsce czasopismo o książce dziecięcej „Guliwer". Przez jedną kadencję prezesowała Polskiej Sekcji IBBY; koordynowała działania grupy eksperckiej przy tworzeniu Kanonu Książek dla Dzieci i Młodzieży.

KWARTALNIK LITERACKI

Wyspa

Zamówienie prenumeraty tel. 22 828 36 31
Biblioteka Analiz Sp. z o.o., ul. Mazowiecka 6/8 pok. 416, 00-048 Warszawa

Zamawiam prenumeratę „Kwartalnika Literackiego WYSPA"
począwszy od numeru ..... w cenie 60 zł za 4 numery

Imię i nazwisko .....

Nazwa firmy*.....

Adres do faktury* .....

Adres korespondencyjny.....

Numer NIP* .....

* Opcjonalnie dla osób, które chcą otrzymać fakturę VAT

Upoważniam firmę Biblioteka Analiz Sp. z o.o., ul. Mazowiecka 6/8., 00-048 Warszawa wydawcę „Kwartalnika Literackiego WYSPA" do wystawienia faktury VAT bez mojego podpisu oraz do wprowadzenia moich danych osobowych na listę prenumeratorów

.....
podpis

Należność prosimy wpłacać na konto **59 1750 0012 0000 0000 3724 7138** w BNP Paribas z dopiskiem „Prenumerata WYSPA"

---

książki MAGAZYN LITERACKI

Zamówienie prenumeratury Magazynu Literackiego KSIĄŻKI

Zamawiam prenumeratę „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI"
począwszy od numeru ..... w cenie 185 zł za 12 numerów

Imię i nazwisko .....

Nazwa firmy*.....

Adres do faktury* .....

Adres korespondencyjny.....

Numer NIP* .....

* Opcjonalnie dla osób, które chcą otrzymać fakturę VAT

Upoważniam firmę Biblioteka Analiz Sp. z o.o., ul. Mazowiecka 6/8., 00-048 Warszawa wydawcę „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI" do wystawienia faktury VAT bez mojego podpisu oraz do wprowadzenia moich danych osobowych na listę prenumeratorów

.....
podpis

Należność prosimy wpłacać na konto **59 1750 0012 0000 0000 3724 7138** w BNP Paribas z dopiskiem „Prenumerata Magazynu Literackiego KSIĄŻKI"

JUŻ OD PONAD 30 LAT NA RYNKU

rynek-ksiazki.pl/sklep

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydanie pisma w 2023 roku dofinansowane jest ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury